

1347



1903.

STYCZEŃ.

# PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Dodatek popularno-naukowy  
(BEZPŁATNY).

---

## Fakty i przypiski.

Szkice Herberta Spencera.

### Przedmowa.

W ciągu długiego okresu życia mojego, zużytego na dokonywanie różnorodnych systematycznych prac, przychodziły mi chwilami do głowy myśli, których prace te obejmować nie mogły. Większa część owych myśli została przezemnie ogłoszona drukiem w postaci artykułów dziennikarskich a potem zebrana w jedną całość, stanowiącą trzytomowe dzieło; pozostałe jednak nigdzie dotychczas drukowane nie były: niektóre z nich względnie niewiele warte, inne nieco już ciekawsze i wreszcie jeszcze inne, zdaniem moim zasadniczo ważne.

Tych nie chciałbym pozostawić w ukryciu, to też w ciągu ostatnich dwóch lat spisałem je na kartkach, składających się na niniejszą książkę. Może uzupełnię drugie wydanie kilkoma nieznacznymi szczegółami, bez względu na to jednak, czy zamiar mój skutecznie, mogę z całą pewnością powiedzieć, że praca ta ostatniem będzie mojem dziełem.

Herbert Spencer.

Brighton 1902.

## I.

**Uczucie i umysł.**

Około 1854-go roku, w początkach przyjaźni mojej z prof. Huxley'em, wstąpiłem do niego kiedyś po obiedzie z zostałem przywitany na progu przez gospodarza domu w ten sposób. „Chodź pan zemną na górę, pokażę panu coś, co obali cały system pańskich uogólnień; będziesz pan zachwycony“. Wiedział on dobrze, że skłonny jestem do uogólnień, szydził więc, sądząc, że doznam rozczarowania. Dysekując mózg morskiej świnki, zauważył, że wielkość jego niepomierne jest duża, zupełnie nieodpowiadająca potrzebom tego zwierzęcia. Na cóż przyda się stworzeniu, którego funkcje życiowe tak są nieskomplikowane, organ tak wielki, że mógłby zupełnie wystarczyć człowiekowi? Huxley (wówczas jeszcze nie profesor) nie umie sobie wytłumaczyć tej zagadki, mnie zaś w owym czasie nie przychodziło na myśl to, co uważam dzisiaj za rozstrzygnięcie kwestyi.

Powszechnie przyjętem jest łączenie w jedno pojęcia umysłu i rozumu. — Skłonni jesteśmy też do robienia przypuszczeń, jakoby zdolność myślowa naszego rozumu głównym była jego pierwiastkiem, który często każe nawet zapominać o istnieniu innych, doń podobnych, co dzieje się po części na tej zasadzie, iż zależność czynów naszych od myśli jest rzeczą oczywistą, po części zaś dla tego, że mowa, odgrywająca tak wybitną rolę w życiu naszym, nadaje myśli stanowisko dominujące zarówno dla nas, jak i dla naszego otoczenia. Tem samem więc, mówiąc, że mózg jest narządem rozumu, przypuszczamy, że mózg jest głów-

nym jeżeli nie wyłącznym narządem umysłu. Jest to jednak zasadniczym błędem. Główną składową część rozumu stanowi uczucie. Chcąc lepiej to pojąć, należy koniecznie starać się wykorzystać fałszywe pojmowanie wyrazu: „rozum“ i zamienić go na równoznacznik: świadomość. Rozum, właściwie pojęty, równa się obszarem swoim świadomości. Wszystkie składniki świadomości są składnikami rozumu: Wrażenia i poruszenia duszy (emocje) nie tylko że stanowią składową część świadomości, ale w dodatku są jej składnikami głównymi. Na świadomość w każdej danej chwili składają się wrażenia, jakie wywołują w nas przedmioty otaczającego świata: różne zestawienia kolorów, działające na nasz zmysł wzroku; dźwięki, dochodzące do naszych uszu; wpływ ocierania się ciała naszego w pozie leżącej lub siedzącej o rozmaite przedmioty; napięcie mięśni, to warzyszące każdemu ruchowi, wreszcie smaki i zapachy. Pomędzy temi wrażeniami zewnętrznymi ciągły wzajemny zachodzi stosunek, stanowiący istotę wrażeń i myśli: różne kolory, tę lub owę określoną zajmujące przestrzeń i położenie, uważamy za te lub owe przedmioty drogą zestawiania ich z myślowym szeregiem barw, ugrupowanych w tym samym porządku; ruch pewnych ich grup pozwala przepowiadać pewne poszczególne wyniki — i te właśnie naprzód odgadywane wyniki stanowią wrażenia myślowe. To samo tyczy się dźwięków, wrażeń, odbieranych przy dotykaniu zimnych lub gorących przedmiotów oraz wrażeń węchowych: pierwiastek umysłowy przy odróżnianiu jednorodności ich i zachodzących pomiędzy niemi różnic, bardzo niewielką odgrywa rolę. Tym sposobem więc na istotę naszej świadomości myślowej składają się wrażenia i tylko forma jej stanowi to, co zwiemy rozsądkiem. W otrzymywaniu wrażeń takich jak np., koloru czerwonego słody-

czy, twardości, wysiłku—rozsądek udziału nie bierze, wchodzi zaś on w grę wówczas tylko, gdy idzie o pewne wzajemne stosunki tych wrażeń.

Następnie idzie cały szereg uczuć, jakich nie mieści w sobie ogólnie uznane pojęcie rozumu; uczuciami temi są poruszenia duszy (emocje). O nich, zarówno jak o wrażeniach, powiedzieć można, że najzwyczajniejsze z nich, najczęściej się powtarzające, zazwyczaj nie bywają przyjmowane za uczucia. Ciągłe, nieprzerwane ich trwanie każe nam zapominać o nich tak samo, jak nie zdajemy sobie sprawy z oddychania lub mrugania oczami — a jednak poruszenia te powtarzają się co chwilę. Nie robimy ani jednego ruchu, którego nie poprzedzałaby błyskawiczna emocja i trwający mgnienie jedno przebłysk myśli. Wystarczy, aby ruchy te wymagały nieco większego niż zazwyczaj wysiłku — a wnet uświadomimy sobie zupełnie wyraźnie, że poruszenie duszy poprzedziło je i że to samo ma miejsce przy wszystkich emocjach słabszych. Mamy piękną pogodę — odczuwamy więc pewien podniesiony nastrój; pada deszcz — i wnet doznajemy uczucia przygnębienia. Gdy wchodzi do pokoju osoba, z którą sympatyzujemy, robi nam się jasno na duszy, z chwilą zaś gdy spostrzegamy nieprzyjaciela, duszę naszą zasnuwa cień ponury. Jeśli wykonywamy jakąś pracę obowiązkową, to — obok niezbędnej fizycznej i umysłowej energii — występuje w nas nieokreślone uczucie niezadowolenia, wprost przeciwne temu, jakie towarzyszy ulubionemu przez nas zajęciu. Jakkolwiek te, związane z każdym zjawiskiem, uczucia tak są niewyraźne, że prawie nie domyślamy się ich istnienia, panują one jednak — przy pewnych pobudzających okolicznościach — bezpodzielnie nad świadomością naszą. Zdarza się, że kłótnia tak silne rozpala uczucie gniewu, iż tracimy, o władnięci tą

namiętnością, możność mówienia, zdolność myślowa została więc sparaliżowaną.

Gwałtowny przestrach tak silnie może oddziaływać na umysł, że chwilowo występuje zupełna niemoc czynu. Niepokój, wypływający z przesadnego przywiązania, jest w stanie zagłuszyć wszelkie inne myśli. Otóż tym pierwiastkiem umysłu, który w danym wypadku okazał się głównym a który w pewnych innych warunkach stale bywa głównym, są wzruszenia. Te przeważające emocje stanowią składniki umysłu, określające na dzień cały, czynny lub bierny, wzniosły lub poziomy jego nastrój. Poruszenie duszy—to pan, umysł—jego sługa. Ostatecznym wynikiem kierowania naszymi postępkami za pośrednictwem wrażeń i rozsądku jest czynienie zadość uczuciom; pobudza nas to do czynu i stwarza energię, niezbędną do czynienia dalszych kroków; wszelkie dokonywane przez nas w ciągu dnia całego wysiłki—niezależnie od tego, czy związane były z miłymi lub niemiłymi wrażeniami—czynione były przez nas w celu otrzymania lub ustrzegania się pewnych innych wrażeń.

W tem właśnie tkwi rozwiązanie owej nieprawidłowości, o której mówiliśmy z początku. Duży mózg morskiej świnki nie jest czynnikiem wielkiej działalności umysłowej ale wzruszeniowej, wywoływanej aktami gonienia i chwytania zdobyczy, Olbrzymia mięśniowa siła tego zwierzątka, uzewnętrzniana przez nie często niepotrzebnymi skokami, jest objawem nadmiaru wrażeń, albowiem skurczom mięśniowym towarzyszyć muszą zawsze odpowiednie poruszenia duszy. Tym sposobem więc mózg jego zajęty jest nadewszystko stwarzaniem masy wrażeń i związanej z niemi energii, wciąż zużywanej na zdobywanie niezbędnego pożywienia.

Różnorodność i mnogość skutków, jakie wywołują te lub owe przyczyny, jest ogólną właściwością procesów wszechświatowych; dobrze ilustruje je fakt, że pewne błędy częstokroć rodzą masę zjawisk—a potem przypadkowo na nie wpływają—jakkolwiek zjawiska te na pozór nic wspólnego z błędami owymi nie mają. Zwróciłem w tym celu uwagę na ogromny, zazwyczaj popełniany, błąd łączenia w jedno pojęcie umysłu i rozumu, aby wskazać, jakie opaczne rodzi błąd ten pojęcie.

W naszych czasach, kiedy powszechnie panuje pogląd, że z dwóch podstawowych żywiołów natury ludzkiej—duchy i ciała—pierwszy nieskończenie wyżej stoi od drugiego (czem niech nie czują się dotknięci amatorzy atletyki) kiedy teoretycznie — jeżeli już nie praktycznie — strona umysłowa dominuje nad stroną fizyczną, dużo złego rodzi fakt, że najgłówniejsza część składowa rozumu nie bywa wcale uwzględniana. Przekierowanie rozumu nieuchronnie pociąga za sobą niedocenywanie natury wzruszeniowej. Ludzie, rozpatrywani z punktu widzenia nadawania się ich do życia osobnikowego lub społecznego, u których uczucia altruistyczne przeważają, okazały się bez porównania wyższymi od tych, u których wysoko rozwinięta zdolność rozumowania łączy się z uczuciami anti-społecznymi: z bezwstydnym egoizmem i lekceważeniem bliźnich. Jako najlepszy przykład służyć może kontrast, zachodzący pomiędzy niektórymi nawpółdzikimi plemionami. Dzicy wysp Fidżi odznaczali się w epoce odkrycia tych wysp zdumiewającym rozwojem i zdolnościami myślowymi, rzadko napotykanymi wśród ras niższych—zarazem jednak uprawiali oni na wysoką skalę ludożerstwo, utrzymywali całe plemiona niewolników, których potem zjadali — a sława mordercy uważaną była za przedmiot chluby.

Inne znów dzikie plemię (Arafura) nie cieszące się opinią mądrego—istnieją nawet wprost przeciwne dowody—ma instynkty pokojowe, prowadzi życie gromadne, rządzone jest jedynie przez władzę nominalną; uczucia zaś jego są takie, że gdy młodzieniec pewien nie został wybrany na wodza (tytuł, z którym związana jest głównie odpowiedzialność za dobrobyt klasy najuboższej), pocieszał się, mówiąc: „A jednak mogę używać mojego majątku na dopomaganie bliźnim“. Jeśli porównamy oba te narody, okaże się rzeczą oczywistą wyższość pierwiastka moralnego nad umysłowym. Skończenie występne społeczeństwo może składać się z ludzi, których umysł bystrością swoją dorównywa sprytowi Mefista, przeciwnie zaś—społeczeństwo, którego członkowie słabo są rozwinięci umysłowo, może być zupełnie szczęśliwym, jeśli członkowie jego szanują cudze prawa i dają dowody stałej dla innych miłości. Pomimo wyraźnej swojej oczywistości pewnik ten mało brany bywa w rachubę. Uznanie go w całej pełni przyniosłoby ludziom wielki zaszczyt i skłoniłoby ich do zwracania mniejszej uwagi na tych, których zasługi ograniczają się na umysłowej jedynie zręczności. Nie mogłoby mieć wówczas miejsca oddawanie boskiej czci takiemu zbrodniarzowi, jakim był bezwątpienia Napoleon.

Nieodzownym wynikiem podobnie fałszywego pojmowania rozumu jest przecenianie wartości nauczania. Wszędzie rozlegają się głosy: „Nauczajcie, nauczajcie, nauczajcie!“ Powszechnie panuje przekonanie, że oświata, jaką szerzą szkoły, jest w stanie urabiać dzieci i młodzież na pożądaną modłę. Istnieje przypuszczenie, że wystarcza wskazywać ludziom, co jest właściwe, aby postępowali oni słusznie; że tezy, przyjmowane przez rozum, będą przeprowadzane również i w dziedzinie moralnej. Pojęcie to je-

dnak, któremu codzienne doświadczenie zadaje kłam, nie zgadza się z niezwalczonym pewnikiem, że zdolność każda rozwija się tylko dzięki wprawianiu jej w ruch: siły umysłowe rozwijając się na drodze ćwiczeń umysłowych, moralne—dzięki zaprawianiu się do czynów etycznych. Ogólnie rozpowszechnionem jest mniemanie, że przyczyny te i skutki mogą być przestawiane, że drogą nakazu można wywołać pożądane uczucie. Przyznać należy, że o ile uczucie takie istnieje lub przynajmniej, o ile osobnik zdradza pewną w tym kierunku zdolność, to skutek wystąpi niewątpliwie; o ile jednak uczucie śpi lub zupełny jest jego brak, nakaz okaże się praktycznie bezskutecznym a nawet, co niekiedy zdarza się, może wywołać wstręt. Zdaje się jednak, że fakty i pewniki nie są w stanie zachwiać głębokiej wiary w siłę nauczania. Pomimo tak licznych wyższych i niższych szkół, mamy niepohamowanych gwałcicieli meeting'ów, fałszerzy produktów spożywczych, sprzedajnych urzędników, wykonawców niemoralnych poruczeń, pasorzytów, oszukańcze towarzystwa akcyjne — a jednakże nie wpływa to na zmianę ogólnego poglądu. Niedawno Ameryka rozbrzmiewała głosami, zwracającymi uwagę na coroczny wzrost liczby przestępstw i jednocześnie przeszedł wniosek, aby nie zaprowadzać zmian w systemie wychowawczo-etycznym. Zasady, uznawane w teorii, lekceważone są w praktyce. Wybaczenie uważanem jest za hańbę. Obrazę zmyć można krwią jedynie; etyka tak gwałtownie się tego domaga, że oficer, który ośmieliłby się nie spełnić tego żądania, zostałby wykluczonym z armii. Co się zaś tyczy stosunków międzynarodowych, święty obowiązek zemsty równie wybitną odgrywa rolę u ludów dzikich jak i u tak zwanych narodów ucywilizowanych!

Jak już powiedziałem, niesłuszna ta wiara w naucza-



nie wynika przeważnie z fałszywego pojmowania rozumu. Gdyby wniknięto głębiej w treść powiedzenia: „wzruszenie to pan a umysł—jego sługa,“ zrozumianoby, że niewielkich możnaby spodziewać się rezultatów tam, gdzie służba się rozwija, panowie zaś pozostają ciemni. Rozwój służby daje panu ich większe tylko prawdopodobieństwo osiągnięcia swoich celów.

## II.

### O c e n a l u d z i.

Szczerze mówiąc, świat bywa w sądach swoich o ludziach zawsze niesprawiedliwym, grzesząc bądź w jednym, bądź w drugim kierunku. Sądy tworzą się nietylę drogą procesów umysłowych, ile na zasadzie wrażeń, co do których znów dużą rolę odgrywają osobiste sympatyje lub antypatyje oraz dążenie do wygłoszenia stanowczego zdania, do uleganie modzie.

Dla tego też przydałoby się wytknięcie drogi, jaka prowadzić winna do wytwarzania się sądów. Wskaźnikiem może służyć w tym względzie obserwowanie wahania się sądów oraz określenie stanu sądów tych w danej chwili.

Zaznaczając pewnik, że wszelkie wahanie się podlega prawom rytmiki—nie wyłączając wahania się sądów — potwierdzamy jedynie wypowiedzianą przed chwilą zasadę. Ocena nadmiernie wyśrubowana w jednym kierunku, opada prawem nieubłaganej reakcyi w kierunku przeciwnym— a później wraca znów do poprzedniego stanu. W sferze sądów o ludziach najłatwiej wahania te dadzą się zaobserwować. Był czas, kiedy powaga Arystotelesa potężną była i bezsprzeczną, potem, gdy zjawił się Bacon i wraz z nim

przyszła reforma filozofii — zmalała wielkość Arystotelesa, Bacon zaś wzniósł się wyżej. W ostatnich czasach zaczęto coraz mniej wynosić Bacona, aż nareszcie zapomniano o nim zupełnie, co z tej wynikało przyczyny. że ludzie zaczęli zestawiać jego pojęcia z pojęciami naszych czasów, nie zaś z pojęciami jego epoki. Jednocześnie wzrastać zaczęła sława Arystotelesa i teraz doszła, zdaje się, do zenitu. Doskonałym przykładem takiego wahania się sądów jest też Szekspir, który po zaznaniu hołdów ze strony współczesnych (wedle świadectwa Ben-Johnson'a) uległ później zupełnemu zapomnieniu — w ciągu ubiegłego wieku sława jego wciąż rosła i olbrzymiała, aż nareszcie stanął tak wysoko, że krytyka nie mogła go już osiągnąć a społeczeństwo studyjuje jego słowa do najdrobniejszych szczegółów.

Przytaczam znane te przykłady jedynie w celu uwydatnienia faktu, że mamy zawsze możliwość utworzenia sobie pojęcia o stanie wahania się tych sądów w danej chwili. Uznając, że żadna krańcowość sądów o ludziach nie odpowiada rzeczywistości i biorąc pod uwagę rozmaite okoliczności, można określić, w jakiej jesteśmy w danym momencie fazie wahań. Rozumowanie takie prowadzi nas do wniosku, że w obecnej chwili sława Szekspira nadmiernie jest wysoka. Zdanie gorącego jego wielbiciela Ben-Johnson'a, który—na uczynioną mu niegdyś uwagę, że Szekspir nigdy nie wykreślił ani jednego wiersza—odpowiedział, iż byłoby lepiej, gdyby był ich wykreślił tysiąc, bliższem jest zapewne prawdy, aniżeli panujący obecnie pogląd, że wszystko, cokolwiek on napisał, jest cudowne. Każdy, kto nie ulega ślepo modzie, rozumie, że w massie rzeczy pięknych zawsze znajdzie się wiele rzeczy dalekich od piękna

Prawie to samo dałoby się powiedzieć o Beethoven'ie  
Drobny przykład, zaczerpnięty z epoki współczesnej

najjaskrawiej uwydatni słuszność tych dowodzeń. W początku ósmego dziesiątka ubiegłego wieku, sława autorska George Elliot stanęła u szczytu. Wkrótce potem zaczęła ona maleć i do niedawna jeszcze w zupełnym pozostawała upadku. W ostatnich latach zaszedł w tym kierunku zwrot reakcyjny. Ten, kto przyjrzy się wahaniom, jakim ulegają sądy o tej autorce, zrozumie, że o ile przed 30-ma laty stawiano ją zbyt wysoko, o tyle pięć lat temu ceniono ją zbyt nisko — a w krótkie sława jej znacznie będzie większą, aniżeli jest dzisiaj.

Pomijając pewne poszczególne warunki, wyprowadzić można wniosek, że obserwując w każdym pojedynczym wypadku rytm i starając się określić fazę, w jakiej znajduje się sąd, niewolno zapominać o zmianach, jakim niechybnie ulegną panujące w danej chwili zdania o ludziach czy rzeczach; pamiętać należy, że przeważające w danym momencie zdanie nie jest nigdy zupełnie sprawiedliwem — i po dłuższych dopiero wahaniami może stanąć ono na stanowisku właściwem.

### III.

#### **Przytomność umysłu.**

---

Wychowanie może zaszcześcić i rozwinąć niejedną zdolność; są jednak właściwości, uznane ogólnie za wrodzone i niewielkim podlegające zmianom. Do rzędu ich należy przytomność umysłu, pomimo to jednak, spory zasób jego może wzmódz się bardziej jeszcze przez odpowiednie ćwiczenia, nizki zaś jego stopień można nieco podnieść i rozwinąć.

Autobiografia znanego wywoływacza duchów czy prestidigitatora (zdaje mi się, że był to Gudine) zawiera pewien ciekawy szczegół, na który w swoim czasie zwrócono uwagę w jednym z miesięczników. Autobiograf mianowicie, spacerujący po ulicy z synem swoim, bawił się z nim w wyliczanie na wyścigi wszystkich przedmiotów, jakie dostrzegali obaj w oknach wystawowych, obok których przechodzili. —Było to czynione w celu rozwijania w sobie zdolności zapamiętywania mnóstwa szczegółów od jednego rzutu oka. Zdolność ta, doprowadzona drogą wprawy do najwyższego rozwoju, niezbędną była dla tego, kto obrał sobie za zawód bawienie innych rozmaitemi czarodziejskimi sztuczkami. Czy i w dzieciach nie dałoby się również rozwijać zdolności szybkiego i dokładnego orientowania się za pomocą ćwiczeń, mających niejako charakter zabawy?

Wyobraźmy sobie czarną tablicę, przed którą mieści się ruchomy ekran z czarnej tkaniny; ekran ten zaopatrzony jest w czworokątny otwór—a to w tym celu, aby można było przezeń dostrzegać rysunki na tablicy w chwili, gdy otwór będzie je mijał. Nauczyciel zacząć może od narysowania na tablicy trzech, rozmaitej wielkości, plam w niejednakowych odstępach. Następnie, nastawiając ekran w ten sposób, aby plamy były zasłonięte, odchyła go za pomocą sprężyny nieco na bok, dzięki czemu plamy odsłonią się na jedną lub dwie sekundy, poczem uczniowie muszą na swoich tabliczkach określić kropkami położenie plam, jakie udało się im zapamiętać. Względne uszeregowanie, zarówno jak liczba plam, zaczynając od jednej do czterech lub pięciu, mogą być zmienione. Następnie może nauczyciel nakreślić trzy różnej długości linje, których kierunki oraz wzajemny stosunek też będzie rozmaity; po tem przejść można do figur, np. do trójkątu, koła i prostej li-

nii, rozmaicie ugrupowanych — i tak dalej, przechodząc od zestawień bardziej prostych do bardziej złożonych; trwanie ekspozycji można zmniejszać w miarę rozwijania się zdolności szybkiego zapamiętywania. Pożyteczniejsze jednak i bardziej zajmujące są pod tym względem gry pokojowe: jedne dla dzieci, inne dla młodzieży. Istnieją gry karciane, przy których wygrana zależy od szybkiego zauważenia rozmieszczenia kart: wszyscy patrzą na każdego z grających po kolei, aby spostrzedz pomyłkę w układzie kart. Podobne gry i ćwiczenia, rozwijające zdolność spostrzegawczą, w różny sposób oddziałują na poszczególne osobniki.

Pomiędzy chwilą, kiedy człowiek dostrzega przedmiot jakiś—a momentem, kiedy umysł jego na widok ten reaguje, upływa pewien przeciąg czasu, którego trwanie różnem jest dla różnych jednostek, co zależy od pewnej właściwości naszych nerwów; właściwość ta wpływa też na ilość przedmiotów, jakie zauważyć jesteśmy w stanie odrazu na pierwszy rzut oka. Dodać należy, że ćwiczenia powyższe nie tylko rozwijają szybkość obserwacji, ale i jej natężenie. Umiejętność skupiania na pewnym przedmiocie siły intelektualnej daje najróżnorodniejsze rezultaty.

Jeżeli przypuścimy, że przytomność umysłu może rozwinać się do pewnego stopnia dzięki spotęgowanej zdolności chwytania odrazu wszelkich szczegółów, to musimy także pamiętać, że należy wykształcić w sobie jeden jeszcze, niemniej ważny czynnik — zaradność. W tym kierunku niewiele, co prawda, da się zrobić. Szereg pytań, zadanych na temat przypuszczalnego nieszczęścia lub wypadku, na które odpowiedź musi być dana w ciągu pięciu minut, byłby może właściwem ćwiczeniem myśli, nie kształconej zazwyczaj w tym kierunku. — Na kobiecie zapaliła się suk-

nia; co zrobiłbyś w takim wypadku? „Pobiegłbym po wodę”—brzmieć mogłaby jedna odpowiedź. „Pobiegłbym po kołdrę i związałbym nią płonącą.“ „Zerwałbym kotarę z okna, gdyby była zrobiona z materiału wełnianego i zarzuciłbym ją na palącą się.“ „Odepchnąłbym ją i zarzuciłbym na nią dywan, leżący przed kominkiem.“ -- Następnie, wyobraź sobie, że koń twój poniósł. Co czynić? — „Wyskoczyć z powozu“, odpowie wielu. „Jeżeli na ulicy nikt i nic nie stoi lub nie leży, dać mu biedz, dopóki się nie zmęczy“—mogą powiedzieć inni. Trzecia odpowiedź może być taka: „Położyć się na dnie powozu“. — Albo też niech ci się zdaje, że starasz się ratować tonącego. Jak postąpisz w takim razie? Jeden powie: „Jedną ręką trzymać go będę za rękę a drugą będę wiosłował“, albo też: „będę go trzymał jedną ręką za szyję a drugą wolno będę wiosłował.“ Jeszcze inny może powiedzieć: „Trzymałbym go, objawszy ręką jego plecy, aby nie pozwolić mu uwiesić się na mnie a płynąc, popychałbym go przed sobą“. W każdym wypadku rozprawy na temat odpowiedzi wyświełtła ujemną lub dodatnią stronę takiego czy owego znalezienia się w wyjątkowej, groźnej sytuacji. Wszelkie wypadki życiowe mogą nadawać się bezwątpienia jako tematy do podobnych ćwiczeń, które jedyną są chyba drogą do rozwinięcia szybkości orientowania się co do najlepszych sposobów ratunku. Zarazem też w skutek częstego powtarzania tych ćwiczeń utrwala się w pamięci sposoby najracjonalniejsze, do jakich należy uciekać się w odpowiednim wypadku.

Zarówno jednak jak zdolność szybkiego spostrzegania rozwinać się może do pewnych tylko, określonych dla każdego organizmu, granic, tak samo istnieją granice zdolności szybkiego orientowania się w niezwyklej i nieprzewidzia-

nej okoliczności. Normalna praca żywego organizmu — człowieka czy zwierzęcia — wymaga, aby do części lub do kilku części, zajętych pełnieniem wzmożonej względnie funkcji, niezwłocznie następował zwiększony dopływ krwi: gdy beczynny do tej chwili mięsień zostaje nagle pobudzony do działania, muszą tętnice jego bardziej być napełnione — żołądek po przyjęciu pokarmu wymaga, aby krwionośne jego naczynia więcej zawierały krwi, aniżeli wówczas, kiedy nie działał. W celu wywołania szybszego i wzmożonego czucia i myślenia, jakiego wymaga walka z katastrofą, należy pobudzić mózgowy obieg krwi — potrzebie tej zaś czyni zadość obficie zaopatrzone system naczyniowy. Tu jednak na częstą natrafiamy przeszkodę. Omdlenie, występujące po gwałtownem wruszeniu, jest zjawiskiem dość pospolitem. Ma tu miejsce jedno z licznych instynktownych zjawisk wyrównywania strat, ponoszonych przez organizm. Silnemu wruszeniu towarzyszy wzmożony nagle dopływ krwi do części mózgu, co zagraża niektórym, nadmiernie rozszerzonym, tętnicom możliwością pęknięcia; niebezpieczeństwo to bardzo jest poważne i może okazać się fatalnem w skutkach. W tej samej chwili jednak, wskutek działania błędnego nerwu, występuje nagłe wyczerpanie serca, które przestaje pracować, co powoduje zmniejszony ucisk na naczynia krwionośne—a tem samem niebezpieczeństwo zostaje usunięte. Pomiedzy zwykłym jednak stanem umysłu, towarzyszącym zwykłemu mózgowemu obiegowi krwi — a tym stanem nadzwyczajnym, w którym paraliż zdolności myślowej uwarunkowany jest paraliżem czynności mózgu, dużo istnieje przejściowych stopni osłabienia serca, inaczej mówiąc—bezwzględного zawiązania. Rezultat osłabienia czynności serca polega na

tem, że zamiast pobudzenia siły umysłowej występuje większy lub mniejszy jej upadek. — Jeżeli niezbędny dopływ krwi do mózgu częściowo jest wstrzymany, następuje zawieszenie funkcj życiowych: myśli płaczą się i mózg zostaje niejako rażony chwilowym paraliżem. Szczególnie często miewa to miejsce u osobników nerwowych lub u tych, którzy z powodu nadmiernej pracy nadwreżyli system naczyniowy i ośrodki nerwowe. U takich jednostek ten upośledzony dopływ krwi wywołuje wobec nagłego niebezpieczeństwa lub katastrofy — fizycznej czy moralnej — jakiś chaos myślowy, zupełny rozstrój myśli i bodźców, tak, że wszystko idzie na opak i ludzie ci albo nic nie są w stanie przedsiębrać, albo też działają wprost przeciwnie, aniżeli działać należałoby.

Tem samem więc, przytomność umysłu, jako właściwość, zależąca głównie od normalnego lub zmienionego wskutek choroby stanu organizmu, bardzo mało nadaje się do rozwijania; pomimo to jednak i w tym kierunku zdziałać coś można. Ćwiczenie zmysłu spostrzegawczego i zaradności dobroczynne jest w skutkach dla każdego — niezależnie od płci, wieku i zajęcia i — o ile dane wzruszenie nie jest nazbyt gwałtownem — mogą one wyrobić pewien stopień przytomności umysłu u osobników nerwowych. Biorąc pod uwagę fakt, że przypadkowe zachowanie przytomności umysłu może równać się wybawieniu samego siebie lub innych z poważnego nieszczęścia, do prostego dochodzimy wniosku, że ćwiczenia, mające na celu spotęgowanie chociażby w nieznacznym tylko stopniu umiejętności panowania nad sobą, powinnyby zastąpić wiele niepotrzebnych zajęć, na które bezcelowo dużo tracimy czasu przy obecnym systemie wychowawczym.



## IV.

## Kilka pytań.

Przykuty, wskutek złego stanu mojego zdrowia, do południowej części Anglii, spędzałem corocznie, zaczawszy od 1889 r., większą część lata gdziekolwiek na wsi i zawsze starałem się wybierać posiadłość, należącą do inteligentnego fermera, którego rodzina i całe otoczenie odpowiadałyby moim wymaganiom. Jednym z tych wymagań była obecność młodzieży. Codziennie jeździłem konno w towarzystwie dwóch osób; nie będąc jednak w stanie podtrzymywania ciągłej rozmowy, przerywałem ją pytaniem, na które nie można było odpowiedzieć, nie namyśliwszy się. Zapoczątkowany przezemnie rodzaj takich ćwiczeń wszedł w zwyczaj, który od tego czasu stale zacząłem uprawiać—po części w chęci egzaminowania młodych ludzi, jakimi się otaczałem, po części zaś w celu rozwijania w nich umiejętności myślenia. Jednym z najprostszych pytań, na które rzadko otrzymywałem odpowiedź, było: „dlaczego oczy królików, owiec i zajęców, rozmieszczone są z obu stron głowy, oczy zaś kotów i psów—na przodzie łba“? Było jednak wiele innych pytań, na które odpowiedzi mniej są proste, to też większość ich pozostawała bez odpowiedzi. Przytaczam niektóre:

W jaki sposób skowronek, szybując w górę, może śpiewać w ciągu kilku minut bez zaczerpywania powietrza?

Dlaczego drogi w miejscowościach górzystych znacz-

nie są niższe od poziomu pól, w miejscowościach zaś płaskich położone są na równi z niemi?

W najmniej zaludnionych miejscach, znajdują się zawsze z obu stron traktu konnego bocznych a często i głównych dróg, szerokie pasy darniny? W jaki sposób utworzyły się one?

Krowy i konie piją tak samo jak ludzie, koty zaś i psy chlepcą. Wskutek czego powstały takie różne nawyknięcia?

Dlaczego kaczka ma taki chwiejny chód? I na co przydaje jej się specjalna taka budowa, od której chód ten zależy?

Wronie gniazda mieszczą się zazwyczaj niedaleko od mieszkań ludzkich. Sąsiedztwo to jednak nieszczególnie sprzyjać musi wronom, skoro codziennie odlatują one daleko na poszukiwanie pożywienia. Wytrwale jednak ścielą swoje gniazda i składają jajka oraz wysiadują dzieci na drzewach, stojących obok mieszkań, pomimo że ludzie co-rocennie odbywają polowania na ich małe—z chwilą, gdy zaczynają one uczyć się fruwać. Cóż skłania je właściwie do wybierania sobie tak niewłaściwego na pozór miejsca zamieszkania?

Spacerując lub jeżdżąc po polu i lesie, mało spotykamy czarnych i śpiewających drozdów na otwartem polu, więcej zaś ich widzimy w pobliżu domów, szczególnie domów dostatnich, nawet w tej porze roku, kiedy w ogrodach owocowych niema już dla nich pokusy w postaci owoców. Czem wytłómaczyć sobie ten fakt?

Próby dawania odpowiedzi na te pytania ujawniły następujące ciekawe zjawisko: zupełny zanik idei przyczynowości oraz powierzchowność sądów. Nietylko bowiem

odpowiedzi te były fałszywe, ale świadczyły o najzupełniejszym braku uświadomienia sobie istotnej głównej przyczyny. Kiedy np. zadawano mi pytanie, czy zdolność skowronka do śpiewania podczas polotu bez znużenia nie zależy od większej czystości powietrza górnych warstw, dawano tym sposobem dowód zupełnej nieznamomości zjawisk fizycznych, które bliższy może miały związek z istotą rzeczy, zupełnie jednak były niedostateczne.

Kiedy w odpowiedzi na to, dlaczego krowy i konie piją inaczej, aniżeli psy i koty, pytano mnie: czy nie zależy to od specjalnego ustroju ich gardła? — łatwo można było zrozumieć, że, gdybym odpowiedział twierdząco, byłoby to uważane za objaśnienie wystarczające i nie starano by się doszukiwać przyczyny, na zasadzie której różnica ustrojów mogła powodować odmienne przyzwyczajenia. Jasną jest rzeczą, że umysły, pozostawione w takim stanie, doskonałym są gruntem do zaszczepienia przesądów. Że przesypywanie soli jest złym znakiem, że nieszczęście, jakie ma spotkać człowieka, może być odwrócone przez przerzucanie śpilki przez lewe ramię lub też, że nów księżyca, oglądany przez szkło, jest złą wróżbą — wszystko to są zabobony, łatwo przyjmowane przez tych, którzy nie zaprawili się do racjonalnego pojmowania idei przyczynowości. Najbezmyślniejsze dogmaty przyjmują się najłatwiej tam, gdzie nie nabyto wiadomości o ustroju natury.

---

## V.

**Ostatnie chwile.**

W swojej „Spowiedzi Anglika, spożywacza opium“, opowiada de Quincy, że zażywanie opium potęgowało jego wrażliwość na muzykę i że zazwyczaj zażywał on dawkę przed pójściem na operę. Co się mnie tyczy, mogę przytoczyć fakt z mojego życia, potwierdzający słuszność tego spostrzeżenia. Przed trzydziestu czy czterdziestu laty, z powodu uporczywej bezsenności, zażywałem czasem morfinę (działającą na organizm w ciągu dwóch dni), w celu umożliwienia sobie zasypiania o właściwej porze. Zdarzyło się pewnego razu, że nazajutrz po zażyciu leku poszedłem na koncert, gdzie grano symfonię Spohra „Potęga dźwięków“. Słyszałem symfonię tę o kilka lat wcześniej i wówczas nie wywarła ona na mnie żadnego wrażenia, ale tym razem słuchałem jej z wielką przyjemnością. Po części zaostrzyła się moja wrażliwość na dźwięki, po części zaś zauważyłem wzmożoną zdolność oceniania wzajemnych ich stosunków i zestawień.

Przytaczam fakty te, w celu zwrócenia uwagi na okoliczność następującą: pomiędzy wrażeniami, odbieranymi we wczesnej młodości i w wieku dojrzałym taka sama zachodzi różnica, jaka istnieje pomiędzy wrażeniami, odbieranymi przy pewnym pobudzeniu nerwowem, oraz wrażeniami przy stanie zwykłego napięcia nerwów. Zarówno jak flegmatyk nie jest w stanie odczuwać zapału entuzjasty, tak samo w wieku późniejszym niepodobna już reagować na wrażenia i wzruszenia równie żywo, jak w młodości lub w zaraniu życia.

Dobrze te znane kontrasty naprowadzają na myśl o kontraście mniej znanym. Wszyscy uznają zazwyczaj jako pewnik, że w miarę upadku sił fizycznych i słabnięcia energii, słabną zarazem wszelkie niemal uczucia (mówię: „niemal“, ponieważ możnaby przytoczyć niektóre wyjątki), kwestya jednak chwil ostatnich pozostaje nierozstrzygniętą. Ci, którzy, myśląc o śmierci, sądzą, że zachowają do końca pojęcie swoje i wrażliwość, przypuszczają zazwyczaj, że w ostatniej chwili myśli ich i wzruszenia niemniej będą żywe; co prawda, znane im wypadki bredzenia i utraty świadomości, dowodzą, że przed śmiercią zdolności myślowe zupełnie prawie zanikają, nie zdają oni sobie jednak sprawy z tego, że i zdolność odczuwania zupełnie prawie się zatracą. Wyobrażają oni sobie, że stan ten jest taki sam, jaki odczuwają teraz, gdy zdarza się im być obecnym przy ustaniu życia, w rezultacie jednak wszelkie zdolności umysłowe sparaliżowane zostają odrazu — podobnie jak siły fizyczne — a wraz z nimi zanika zdolność odczuwania wrażeń.

Możliwą jest rzeczą, że świadomość w ostatnich jej stadyach, pochłonięta jest całkowicie przez przyjemne wrażenie spokoju. Uczucia i pragnienia, związane z życiem, nie dochodzą już do świadomości, ponieważ niezbędna byłaby do tego pewna doza energii umysłowej. Pozostaje tylko uczucie takiego rodzaju, jakiego zazwyczaj doznajemy przy najzupełniejszym spokoju — uczucie, jeżeli nie absolutnej obojętności, to bliższe raczej dziedziny wrażeń przyjemnych, aniżeli stanu chorobliwego. Cokolwiek bądź jednak, oczywistą rzeczą jest to tylko, że w razie normalnie zbliżającej się śmierci, czy też śmierci wskutek powolnego uwiądu i osłabienia starczego, stan uczuć możliwie dalekim jest od tego, jaki towarzyszy zdrowemu lub

sztucznie pobudzonemu życiu; siła uczuć i wzruszeń stopniowo słabnie przed zupełnym życia zanikiem. Tem samym więc obawa śmierci, jakiej doznaje większość ludzi, zupełnie jest nieuzasadniona.

Zbyteczną, sądzę, będzie uwaga, że twierdzenie to nie stosuje się do śmierci, która występuje jako skutek silnego wzruszenia lub gwałtownej choroby. W takim wypadku końcowy okres zubożenia znacznie się skraca i ogranicza się do bardzo krótkiej chwili, tak że energia życiowa zachowuje dość jeszcze siły, aby umożliwić odczucie głębszego wrażenia.

R. C.

---

# Konkordat we Francyi.

przez

**Marcelego Szarotę.**

Walka antyklerykalna, która w takim napięciu trzyma wszystkie stronnictwa postępowe we Francyi, walka, która po ostatnich zwłaszcza wypadkach, przybrała tak kolosalne rozmiary i jeszcze bardziej pogłębiła przepaść między jedną częścią społeczeństwa francuzkiego a drugą, dojdzie, zdaje się, niedługo do kulminacyjnego punktu. Punktem tym będzie zerwanie wszystkich węzłów, łączących obecnie rzeczpospolitą francuzką z Watykanem, zerwanie umowy, zawartej przed stu laty między Napoleonem a Piusem VII, zniesienie budżetu kultowego we Francyi i przywrócenie tego stanu, jaki zaprowadzili mężowie z roku 1789. Pozornie wydaje się nam to wszystko jeszcze dość dalekiem, bo od czasu do czasu dochodzą nas wieści, że rząd obecny nie ma zamiaru zdecydowania się na ten krok; lecz gdy przypomnimy sobie, że deklaracya prezesa ministrów, Combesa, odczytana na jednym z pierwszych zebrań teraźniejszej legislatury, już wtedy nie zadowolila pewnej części posłów, gdy zrozumiemy następnie, że liczba tych posłów, wskutek palatywnej działalności rządu musi wzrastać bezustannie, gdy zrozumiemy wreszcie, że posłowie ci, jako przedstawiciele wielkiej części społeczeństwa francuzkiego, są wyraziciela

mi przekonań w tej części społeczeństwa panujących, to dojdziemy do wniosku, że prędzej czy później, rząd będzie musiał ustąpić i że żądaniu reformatorów stanie się zadość. Jeżeli obecnie może być jeszcze o czemkolwiek mowa, to tylko o czasie, o czasie potrzebnym a raczej koniecznym do ukonstytuowania się nowego stanu rzeczy i o tem, w jaki sposób akcja parlamentarna, w kierunku tym przedsięwzięta, może się zakończyć skutecznie. Inne kwestye, jak na razie przynajmniej, nie wyłaniają się jeszcze. Do energicznej i skutecznej działalności na drodze prawodawczej już wszystko przygotowane: zarówno w izbie deputowanych, jak w senacie jest kilka frakcyj, nawiasowo mówiąc, silnie i należycie zorganizowanych, które jako najbliższy swój cel—stawiają zerwanie konkordatu napoleońskiego i zniesienie budżetu wyznań a jakkolwiek frakcye te nie stanowią jeszcze większości parlamentarnej, mającej w warunkach obecnych prawo decydowania, to jednak na zapoczątkowanie akcji są one liczebnie zupełnie wystarczające.

Przed kilkoma miesiącami zdawało się naprzykład, że wszystko przejdzie o wiele szybciej niż przypuszczano powszechnie. Stała się bowiem rzecz nadzwyczajna: prawica parlamentarna, na której gromadzą się zkoalizowani reakcyoniści, ni ztąd ni zowąd sama od siebie wystąpiła z projektem zniesienia konkordatu i przez jednego ze swych przedstawicieli, Roche'a, mieniącego się „socyalistą“ nacyonalistycznym, przedłożyła izbie następujący wniosek:

1. Wszystkie kościoły, uznawane dziś i subwencjonowane, zostają oddzielone od państwa.
2. Zaraz po ogłoszeniu niniejszego prawa, rząd znie-



sie konkordat, oraz wszelkie inne pakta, zawarte ze wszystkimi innymi kościołami, opłacanemi przez państwo.

3. Budżet wyznań zostaje zniesiony.

4. Ambasada przy Watykanie zostaje również zniesioną.

5. Każdy kult może być swobodnie uprawiany; wyznawcy poszczególnych religij mogą—na zasadzie prawa z dnia 1 lipca 1901 roku i zgodnie z §§ 1 i 5 tegoż prawa — łączyć się w stowarzyszenia; na skutek zdolności prawnej, którą te osoby posiadają, mogą one subwencyonować swe kościoły, posiadać lub nabywać nieruchomości potrzebne w celu utrzymywania tych kościołów i występować prawnie wobec państwa lub gmin, gdy będzie chodziło o wynajęcie budynków, będących obecnie w posiadaniu kościołów.

6. Sposób w jaki ma być zniesiony konkordat, zostanie określony przez specjalne prawo.

7. Dochody, któremi będzie można rozporządzać po ogłoszeniu niniejszego prawa, powinny być użyte przede wszystkim, jako fundusz emerytalny dla inwalidów pracy.

Każdy, kto wie do czego dążą reakcyoniści francuzcy, kto nie zapomina, w jaki sposób zwalczali oni jeszcze i zwalczają rząd za zupełnie prawne i zgodne z konstytucją postępowanie jego z kongregacyami, ten odrazu dopatrzy się ukrytego celu w tak nagłym wystąpieniu konserwatystów z prawicy, którym i tym razem, jak i zawsze zresztą, chodziło tylko o osłabienie tego rządu i o uniemożliwienie mu wyjścia z dość zawilej sytuacji. Sytuację tą uratowała większość parlamentarna, składająca się z prawdziwie republikańskich posłów, którzy nie uznali nagłości takiego wniosku, tembardziej, że podobny a raczej

dalej jeszcze idący wniosek jednego z deputowanych ze skrajnej lewicy, złożony jest w biurach izby i czeka na przestudyowanie.

Widzimy więc z tego, że we wszystkich już teraz obozach myślą zupełnie poważnie o niedalekiej separacji Kościoła i państwa i że chwila, kiedy ten brzemienny w skutki akt nastąpi—zbliża się coraz szybciej. Czas przekonywania i siebie i innych: że „zbrodni“ zerwania raz zawartych paktów rząd nie ośmieli się dopuścić, minął bezpowrotnie dla reakcyi francuzkiej; fakty z codziennego życia wykazują niezbicie, że dla rozkwitu i szczęścia rzeeczypospolitej te i tym podobne „zbrodnie“ rząd musi pełniać.

Do jednej z takich „zbrodni“ pcha go teraz konieczność, pcha nieubłaganie i jedno z dwojga: albo ludzie stanowiący ten rząd—ustąpią pod naciskiem opinii i wygotują w niedługim czasie odpowiedni projekt, któryby mieścił w sobie żądania wszystkich postępowych żywiołów, albo też, nie mogąc zdecydować się na ten bądź co bądź poważny krok, zrzekną się swego urzędu na korzyść bardziej powołanych, bardziej energicznych, jednym słowem takich, którzy się już nie cofną w połowie drogi.

Zobaczmyż teraz jak wygląda we Francyi owo połączenie kościoła z państwem i co jest treścią zawartego przez Francję paktu z Watykanem.

\* \* \*

Wskutek całego szeregu praw wydanych w czasie rewolucyi, oraz dekretów, które uzupełniły następnie te prawa, z własności kościelnej pozostało to, co nazywamy powszechnie tabula rasa: własność kościelna została zniesiona (zniesiona aż do tego stopnia, że klerowi odebrano nawet jego mieszkania prywatne) i przeszła w posiadanie narodu.

Dnia 12 lipca, 1790 r., Konstytuanta znosi konwencyę zawartą w 1516 roku między Franciszkiem I a papieżem Leonem X—a znaną pod imieniem pierwszego Konkordatu i ogłasza dekret, mocą którego kler ma być na przyszłość w sposób cywilny wybierany. Od tego czasu księża i biskupi nie otrzymują więcej swej nominacyi z Rzymu, lecz są wybierani przez swych współobywateli: księża na zgromadzeniach wyborców danej parafii a biskupi przez wyborców drugiego rzędu (wybory pośrednie), zgromadzonych w głównem mieście danego departamentu. Papież nie pośredniczy więcej w konsekracyi biskupów, bulle o inwestyturze kanonicznej są zniesione i kościół galikański zostaje zupełnie wyzwolony z pod władzy rzymskiej. Budżet wyznań nie został wówczas zniesiony. Istniała wtedy jeszcze rubryka 77 milionów, przeznaczonych na utrzymanie „oficerów kościelnych“ i dopiero konwent zmuszony był uzupełnić dzieło Konstytuanty. Dnia 18 września, 1794 roku, znosi on budżet wyznań a w pół roku później proklamuje uroczyście zupełną wolność wszystkich wyznań i praktyki religijne poddaje jednej tylko kontroli—kontroli policyi.

§ 354 Konstytucyi z r. III tak głosi: „Nikommu, kto postępuje zgodnie z prawem nie można zabronić należenia do tego wyznania, które sobie obrał. Nikt nie może być zmuszony do płacenia podatków na korzyść pewnego kultu a Rzeczpospolita też żadnego z tych kultów ani nie opłaca, ani nie utrzymuje“.

To krótkie zestawienie faktów, jakie w niewielkich odstępach czasu następowały po sobie, wykazuje, że rewolucya świetnie potrafiła utrzymać równowagę między kościołem a państwem i nigdy nie chciała ani stać się prześladowczynią religij, ani też szafarką hojnie rozda-

jącą rozmaite kultury. Stan takiej równowagi zniósł dopiero pierwszy konsul Bonaparte, który w roku 1801 przywrócił wyznaniu katolickiemu we Francyi, jego dawne dominujące stanowisko i zaprowadził na nowo kult rzymski w pięćdziesięciu biskupstwach, mających pod sobą około 40,000 parafij.

Wielkie dzieło ówczesne zostało zniszczone za jednym zamachem. Zniszczenia tego dokonał Napoleon za pośrednictwem jednego ze swych zauszników, księdza Berniera, znanego ze swych intryg i ambycji, który zbliżył Napoleona do Piusa VII i umożliwił im porozumienie się wzajemne.

W krótkich, lecz dosadnych słowach opisuje to zdarzenie senator francuzki, Delpech, w swej pracy o Konkordacie i porównywa je z takim samym zdarzeniem, które miało miejsce trzysta lat temu, również we Francyi, za panowania Franciszka I.

„Po zwycięstwie pod Merignan, Franciszek I marzył o cesarskiej koronie niemieckiej; chciał kupić sobie popleczników w osobie trzech dygnitarzy kościoła, którzy mieli prawo głosu, oraz papieża. W tym celu zawarł on w Bolonii konkordat z Leonem X (r. 1516) i mocą tego aktu nadał papieżowi prawo inwestytury kanonicznej, oraz tak zwane annaty, t. j., prawo pobierania haraczu od opactw francuzkich. Haracz ten wynosił wówczas 4 miliony.

„Po zwycięstwie pod Marengo, generał Bonaparte marzy o tytule cesarza i aby zapewnić sobie poparcie kleru, podpisuje konkordat z r. 1801“.

„W 1804 r. zostaje on koronowany w Notre-Dame przez Piusa VII. Po wyjściu z katedry, gdy przedelfował między dwoma rzędami swych żołnierzy, towarzyszyów walk, stoczonych na polach Niemiec i Włoch, spostrzega nagle

generała Delmasa, który stał z miną niezmiernie zatroskaną.— „O czem myślisz?—pyta go cesarz—masz jakąś minę nieszczęśliwą“. — „Jestem bardzo szczęśliwy -- odpowiada Delmas — lecz myślę o tych pięciu tysiącach bałwanów, którzy dali sobie kości połamać, by zniszczyć to, co pan teraz odbudowujesz“.

Nie zaszkodzi zauważyć, że w jakiś czas potem, ten sam Delmas został dymisyonowany i był nieczynny aż do r. 1813. Wtedy Napoleon potrzebował świeżych „bałwanów“, którzyby się bili za niego i dla niego. Na wezwanie cesarza, Delmas odpowiedział: „Jestem!“ Poszedł z Napoleonem, lecz po to tylko, by zginąć na polu bitwy pod Lipskiem.

Za tym samym zamachem, za którym stan osiągnięty przez rewolucyę został wytrącony z równowagi, za tym samym jednym zamachem zdobył kościół katolicki swe dominujące stanowisko we Francyi. Kilka lat wystarczyło w zupełności, by to jego stanowisko dawniejsze zostało zniesione, by ta cała poprzednia jego supremacya zarówno moralna, jak materyalna, została wniwecz obrócona, zdruzgotana, by znikł cały dawny blask jego. Po oddaniu dóbr „martwej ręki“ na własność narodu, wytrąconą mu została najważniejsza jego broń—broń materyalna a potem znikła i druga broń—broń moralna.

i oto nagle, za wolą jednego człowieka, wraca wszystko do dawnego stanu, powraca dawny blask kościoła, dawna jego supremacya.

\* \* \*

Akt ten został podpisany przez plenipotentów obydwóch stron 15 lipca 1801 r. W imieniu pierwszego konsula wystąpili obywatele: Józef Bonaparte, radca stanu, Cretet, radca stanu i Bernier, doktor teologii, o którym

wyżej kilka słów powiedzieliśmy; papieża zaś reprezentowali: kardynał Herkules Consalvi, Józef Spina, arcybiskup Koryntu i teolog o. Caselli.

Ratyfikacya tej umowy nastąpiła w Paryżu 10 września 1801 r. a 18 germinala X r., podług kalendarza rewolucyjnego, została ona ogłoszoną publicznie i wniesioną do liczby praw obowiązujących we Francyi.

Umowa składa się z 17 punktów, oraz wstępu, w którym wyliczone są przyczyny, skłaniające obiedwie strony do wprowadzenia nanowo kultu rzymskiego we Francyi. Jest tam między innymi mowa i o tem, że religia katolicka jest religią zarówno znacznej większości obywateli, jak i samych przedstawicieli rządu francuzkiego i że z tytułu tego powinna ona odzyskać to, co niegdyś, przed laty, utraciła niesłusznie.

„§ 1. Religia katolicka, apostolska, rzymska, będzie swobodnie wyznawaną we Francyi; kult rzymski będzie publiczny i uprawiany zgodnie z regulaminem policyjnym, który to regulamin rząd francuzki uzna za potrzebne zaprowadzić dla spokoju publicznego“.

Tym regulaminem stały się potem prawa organiczne, o których poniżej kilka słów powiemy.

Następne paragrafy omawiają sposób mianowania arcybiskupów i biskupów, oraz rotę przysięgi, jaką kler powinien składać przed objęciem swych stanowisk. Treść tej przysięgi ze względu na to, że zawiera ona wiele przyrzeczeń, których kler nie dotrzymuje obecnie, godzi się tu podać w dosłownym przekładzie: „Przysięgam i obiecuję wobec Boga, być posłusznym i wiernym rządowi ustanowionemu przez konstytucyę Rzeczypospolitej francuzkiej. Przrzekam również nie przyjmować udziału w żadnych radach, nie należeć do żadnych lig ani związków, zarówno

wewnątrz jak i na zewnątrz, któreby były przeciwne spojowi publicznemu; jeżelibym się dowiedział, że w dyccezyi mojej lub też gdzieindziej gotuje się coś na szkodę państwa, to nie omieszkam podać o tem do wiadomości rządu“. Ostatnie zdanie jest najbardziej może charakterystyczne, gdyż jest w niem mowa o tem, że kler francuzki wziął na siebie obowiązek sprawowania funkcyj, prewencyjnych.

W pozostałych kilku paragrafach jest omówiona kwestya przywrócenia zabranych podczas rewolucyi kościołów, następnie kwestya utrzymania kleru na koszt państwa i wreszcie niezmiernie ważna obietnica rządu, że dołoży on starań, by katolicy francuzcy mogli w przyszłości czynić zapisy na korzyść kościoła. Dzięki tej obietnicy, dobra „martwej ręki“ odrodziły się nanowo.

Jakiż był wynik tej całej umowy? Otóż ten, że dwa najważniejsze cele, do których dążył kościół katolicki po rewolucyi, zostały osiągnięte: przedewszystkiem uznano go oficjalnie, przyrzeczono mu poparcie władzy świeckiej a następnie zapewniono jego przedstawicielom utrzymanie i pomoc materyalną oraz, co najważniejsza, przyrzeczono mu uroczyście przywrócenie olbrzymich majątków, które w drodze świeżych zapisów, znowu mógł posiadać.

Za tyle ustępstw, za tę całą kapitulację, otrzymał Napoleon wzamian tylko zapewnienie Stolicy Apostolskiej, że kler stanie się dlań znakomitym pomocnikiem w najrozmaitszych przedsięwzięciach, do których szykował się oddawna i że będzie mu posłusznym za każdym razem, kiedy zajdzie tego potrzeba.

Dla lepszego ocenienia „wielkiego“ dzieła Napoleona, pozostaje obecnie tylko zapoznać się z kilkoma najważniej-

szemi paragrafami praw organicznych, ogłoszonych jednocześnie z konkordatem, praw, które zastąpiły ów regulamin policyjny, któremu miało być poddane we Francyi wyznawanie religii katolickiej.

„§ 1. Żadna bulla, ani też brewe, reskrypt, dekret, mandat, i t. d. kuryi rzymskiej, nie mogą być drukowane ani też ogłoszane publicznie we Francyi, bez uprzedniego zezwolenia rządu“.

Z tego np. względu encyklika „Quanta cura“ i Syllabus przez długi czas nie były oficjalnie opublikowane, ale gdy w r. 1892 papież ogłosił encyklikę w sprawie rządów, służby wojskowej i nauczania, rząd francuzki nie przedsięwziął żadnych środków dla ukrócenia samowoli Watykanu.

„§ 5. Wszystkie czynności kościelne (mowa, nabożeństwa, chrzty, śluby, i t. d.) muszą być bezpłatne“.

Jakiegokolwiek komentarze do tego paragrafu są z naszej strony conajmniej już zbyteczne.

„§ 12. Biskupi i arcybiskupi mają prawo używania tytułu „obywatela“ lub „pana“. Wszelkie inne tytuły są zabronione“.

Czemu prawo to zostało teraz zupełnie zapomniane?— trudno byłoby odpowiedzieć. Tytułu obywatela lub pana nie słyszymy nigdy i nigdzie też nie spotykamy a natomiast wszędzie i zawsze tytuły najprzeróżniejszych emencyj, ekscelencyj, monsignorów, i t. d.

§ 23 i 24 tyczą się kwestyi nauczania i są zredagowane w duchu bardzo postępowym, tylko, na nieszczęście, wcale a wcale dziś nie obowiązują. Gwałcenie tych paragrafów jest specyalnie „przestrzegane“ od czasu ogłoszenia Syllabusu i encykliki „Quanta cura“.

Inne paragrafy (wszystkich jest 77) nie mają dla



nas wielkiego i specjalnego znaczenia. Przepisują one klerowi rozmaite obowiązki natury administracyjnej, omawiają kwestyę płacy, i t. d., i t. d.

Zniesienia tych paragrafów, zniesienia całej umowy, zawartej niegdyś dla względów—że je tak określimy, nie przesądzając bynajmniej ich znaczenia—osobistych Napoleona, domagają się dzisiaj wszyscy republikanie we Francyi. Na zerwaniu z Rzymem Rzeczpospolita nietylko nie dziś nie straci, lecz przeciwnie, zyska, zyska bardzo wiele i nietylko sama, bo z nią razem cała cywilizacja.

# Problemat rasowy w gospodarstwie wszechświatowym<sup>\*)</sup>

podług  
Prof. dra JULIUSZA WOLFA.

---

## I.

Już przed dziesięciu laty przedniejsi myśliciele wprost duchem proroczym wyczuli i podali jako fakt, że ukształtowania w gospodarstwie wszechświatowym, podział zdolności konkurencyjnych między narodowościami, zwycięstwo jednych a upadek drugich, są to wszystko skutki właściwości rasowych, produkt mieszania krwi, z którego wytworzyły się a po części i obecnie się tworzą narody—fakt, który za naszych dni dopiero zdobywa sobie coraz większe uznanie w społeczeństwie. Po wniknięciu w stosunki, które określają powodzenie gospodarcze na rynku, jaki, dzięki zmniejszeniu kosztów przewozu, staje się zwolna „rynkiem świata“, otrzymujemy obraz stosunków daleko jaśniejszy, jeśli wyższość i niższość narodu sprowadzimy do momentów wykończających typ narodowościowy.

---

<sup>\*)</sup> Drukując artykuł prof. Wolfa, zastrzegamy się przeciw wyrażacym tu i owdzie zapędom germańskim; nie zmieniamy jednak zasadniczej myśli, gdyż dobrze jest poznać co myślą i jak myślą naukowci szwabińscy niemieccy.  
(Przyp. R. P. T.)

W ten sposób staniemy wobec jednego z najbardziej wdzięcznych zagadnień, jakie zna ekonomiczna wiedza narodowa, przyczyny i działalność którego pragniemy wysłuchiwać do ostatecznych granic.

Czyż nikt nic nie słyszał o „żółtem niebezpieczeństwie“, o tem niebezpieczeństwie, które wypływa z pewnej ważnej wyższości żółtej rasy nad białą—i które grozi nam zalewem bądź przez samych synów Azyi, bądź też przez wyroby ich rąk? Czyż nikogo nie zastanowiła myśl, że jeżeli Ameryka jest zdolną dziś do wyprzedzenia Europy szybkim krokiem na polu gospodarczem, wielką rolę w tem grają nietylko niezmierzone skarby naturalne, ale przede wszystkim człowiek północno-amerykański, energia i siła żywotna, jaka cechuje nowowytworzoną rasę Yankesów? A tak zwany antisemityzm, wraz ze swym biegunowym przeciwnikiem filosemityzmem, czyż nie sprowadzają się jako jedna z najstarszych i najbardziej wyjaśnionych kwestyj konkurencyjnych do zakresu zagadnień rasowych?

Oto gospodarcze kwestye rasowe, które leżą przed nami a które w następstwie postaramy się wyjaśnić każdemu. Przyjrzyjmy się im nieco bliżej a znajdziemy, że kwestye gospodarki międzynarodowej wszystkie opierają się na wzajemnem oddziaływaniu ras. I nie będzie przeto rzeczą szkodliwą, jeśli choć raz oświetlimy kwestye gospodarstwa wszechświatowego światłem badań przeważnie rasowych i zobaczymy, jaką odpowiedź na nie ztąd otrzymać można.

Pierwsze pytanie jest w samej rzeczy takie: czy istnieją „rasy“ przeważnie wyższe, czy niższe? Czy nie wszystkie rasy w pewnych warunkach są względem siebie jednakowo wartościowe. Czyż wyższość jednych ras nie ma właściwego odpowiednika w brakach innych, tak, że

bilans wszystkich ras w ostatecznym zsumowaniu wyniesie zawsze jedną i tę samą cyfrę.

Był czas, kiedy to mniemanie cieszyło się ogólnym uznaniem. I dzisiaj jeszcze jest ono rozpowszechnione w pewnej określonej formie. Okres zbliżającego się chrześcijaństwa i poprzedzających go szkół filozoficznych proklamował moralną a co ztąd wypływa i etniczną równość wszystkich ludzi. Staropogański Grek pojmował zupełnie jasno różnicę w wartościach rasowych: rozróżniał Helleńczyków i barbarzyńców, dopóki sofisci i stoicy nie wystąpili przeciwko temu ze swoją nauką o równości. W czasach nowych, okres podczas którego podstawowe prawa ogólnoludzkie: wolność i równość zostały zdobyte, z Rousseau'em na czele—ogłosił równość i pod względem rasowym— a w najnowszych czasach teoria Darwina wypowiedziała również twierdzenie, że pozostałe w tyle rasy posiadają możność wzniesienia się z czasem, z biegiem tysiącleci, do coraz wyższych a nawet najwyższych zdolności.

Nic bardziej fałszywego nad to wszystko! O tem, żeby wprost rasy średnio i najmniej uzdolnione, jak Polinezyjczycy, pewne klany indyjskie, i t. d., które mogą należeć do najstarszych pokoleń ludzkich a dzięki temu do tych właśnie, co najdalej postąpiły naprzód, stały znacznie wyżej niż rasy białe, można tu wzmiankować co najwyżej, ale nie uzasadniać szczegółowo. Pewnem jest, że rasa aryjska a w szczególności Indogermanie, podówczas, kiedy rozpoczęli swoje wędrówki i rozprzestrzynieali się coraz dalej, zetknęli się wszędzie z tubylczymi pokoleniami, z ludami, które jeszcze wcześniej tu były—i które mogły być także starsze od nich. Pomimo to, jest w każdym razie jedno tylko faktem, że w pracy gospodarczej mamy do czynienia z mniej lub więcej uzdol-

nionemi rasami i że różnice zachodzące pomiędzy nimi są ogromne.

Ograniczając się z niezmiernie bogatego i wciąż obficie wzrastającego materiału do niektórych tylko faktów, przytoczymy np. zdanie Bagehota, Anglika, który w równym stopniu doskonale był obznajmiony z kwestyą etnograficzną jak i ekonomiczną, gdzie tenże powiada—że dwudziestu normalnych Anglików może nierównie sprawniej się wywiązać z zadania produkcji dóbr, niż tysiąc Negrów australijskich, w wykonywaniu przytem jednej i tej samej pracy. Ale faktem jest również, że w pracy umysłowej nawet niezliczone miliony Negrów australijskich nie mogłyby dokonać tego, czego może jeden średnio uzdolniony biały człowiek. W Ameryce Północnej, w Stanach z ludnością mieszaną, przewodnią rolą przypada zawsze mieszkańcom, posiadającym choć odrobinę krwi białej. Pozostawieni sami sobie, t. j. od czasów zniesienia niewolnictwa, prawdziwi Murzyni znajdują się w Stanach Zjednoczonych w bardzo opłakanem położeniu. W Europie mało wogóle wiedzą o tem, w jakiej nędzy są oni i jak położenie ich nie wykazuje najmniejszej prawie oznaki zmian na lepsze.

Murzyni stanowią rasę niezdolną do zadań o cokolwiek szerszym zakresie a nawet do należytego prowadzenia własnego gospodarstwa domowego, jeśli tylko ono nie ma polegać na naturalnych, po części komunistycznych zasadach życia afrykańskiego; stanowią oni rasę, która, dzięki swej wrodzonej sile fizycznej aczkolwiek nie tak łatwo stacza się do upadku, jednak, wskutek braku zdolności gospodarczych, powraca zawsze do życia o poziomie prawie zwierzęcym. Już Franklin, dawniejszy apostoł burżuazyjnej idei równości, był zdania, że „Murzyn to zwierzę, któ-

re tak wiele, jak tylko może, zrze i tak mało, jak tylko może, pracuje“ a emancypacja niewolników w Ameryce i doświadczenia czynione od tego czasu, przyznały Franklinowi słuszność.

A teraz tyle okrzyczany Mongoł! Wobec niego Murzyn jest wprost niczem; jest on krańcowem przeciwieństwem Murzyna: to—zwierzę, które tak mało, jak tylko może, zrze i tak wiele jak tylko może, pracuje. W tej niezmiernej bezpretensjonalności żółtej rasy wraz z jej niezmordowaną, nie do zmęczenia prawie pilnością, ma polegać wyższość żółtej rasy nawet nad białą. Bezpretensjonalność, bezwątpienia, idąc w parze z bezgraniczną pracowitością, może w niektórych warunkach stanowić podstawę niejakiej wyższości. Ale i tutaj widzimy pewne postawione rasie linie w uzdolnieniu, jako ostateczne granice.

Warto choć w kilku słowach, zapożyczonych u sąsiada, określić specyficzne zdolności Mongołów a w szczególności Chińczyków i Japończyków. O Chińczykach Anglik, Artur H. Smith, powiedział następujące, wyborne a zwięzłe zdanie: „Jest to—mówi—naród bez nerwów“. „Zdaje się—rozwija dalej swe zdanie — że na Chińczyka nie wywiera najmniejszego wrażenia okoliczność, jak długo np. musi pozostawać w jednym i tem samym położeniu: przez cały dzień pisze bez przerwy, jak automat; jeśli jest rzemieślnikiem, od bardzo wczesnego ranka aż do późnej nocy pozostaje na jednym i tem samym miejscu przy tkaniu lub jakimkolwiek innem zajęciu, które stanowi jego pracę; siedzi tak dzień po dniu, jednakowo, z pozorną nieczułością na jednostajność. Ten brak nerwów znajduje swój wyraz pomiędzy innymi i w tem, że Chińczyk wszędzie i w najniemożliwszych położeniach spać może“... „Można — pisze w dalszym ciągu Smith—znaleźć w Chinach miliony ludzi,

którzy rozciągnięci wpoprzek trzech taczek, śpią twardym snem i zupełnie dobrze ze zwieszoną na dół głową, z otwartymi ustami, do których niejedna mucha czyni wyprawę w celu robienia odkryć. Chińczyk nie rozumie cudzoziemców, którzy w wolnym czasie używają spacerów. Niczego podobnego nie potrzebuje. Jego bezpretensjonalność i oszczędność są nadto do tego stopnia wielkie a jego trawienie tak doskonałe, że spożywa strawę, której europejczyk nie spożyłby nigdy, nawet gdyby był blizkim śmierci głodowej. Oto są fakty, jakie w ostatnich czasach utorowały sobie po części drogę w prasie. Są to fakty które na pierwszy rzut oka wydają się być bardzo dalekie od gospodarczego problemu, czego w samej rzeczy niema, ponieważ one decydują o zdolności konkurencyjnej Chińczyków. Szczególną uwagę należy położyć na zdanie, że Chińczyk pracuje „jak automat”. Stwierdzają to wszyscy znawcy Chińczyków. Sartorius v. Waltershausen, uczony, który z pośród wszystkich niemieckich ekonomistów posiada najwięcej zmysłu do etnograficznego momentu w gospodarstwie wszechświatowem, ujmuje rezultat swych głębokich studyów o Chińczykach w następującem treściwem zdaniu: „Chińczyk ma niewiele zmysłu do wynalazków w pracy mechanicznej, ale ma wielki dar naśladownictwa. Wykonywa polecenie ściśle tak, jak było mu pokazane, pracuje z wielką starannością, często całkiem szablonowo i bez uwagi na szczegóły. Szczęści mu się iść naprzód, ponieważ jest zdolny do wykonywania bezmyślnej i nieprzerwanej pracy mechanicznej”. Japoński robotnik w swych właściwościach jest pokrewny bardzo chińskiemu. I o Japonii również twierdzą, „że w tym kraju robotnik raczej więcej chce zrobić, niż wymaga fabrykant”;—i tutaj także zdolność naśladowcza zajmuje pierwsze miejsce a dar wy-

nalaczy następne, aczkolwiek Japończyk może w samej rzeczy wyprzedzać pod tym względem o krok Chińczyka. Mamy nadto, jak na dłoni, że wśród bezbrzeżnej masy Chińczyków trafiają się zaledwie oddzielne jednostki, wyróżniające się wyższą inteligencją. Wykazuje to pomiedzy innymi i historia polityczna Chin a w jeszcze większym stopniu także historia Japonii. Otóż ztąd przynajmniej jasno widzimy, że t. zw. „żółte niebezpieczeństwo“ zawiera się w pewnych granicach — i że w węższych niż wogóle zdawać się może a to dzięki uzdolnieniom, jakie przypadły w udziale „rasie“ mongolskiej. Aby dorzucić jeszcze choć kilka faktów, przypominamy, że niedawno poprzedni poseł niemiecki w Chinach, v. Brandt, był również zdania, że zdrowy przemysł europejski nie powinien się wcale obawiać konkurencyi wschodnio - azjatyckiej a zdanie swe opierał na tem, że u znacznie tańszego Chińczyka i Japończyka brak siły fizycznej i zmysłu porządkowego. Według doniesień angielskich rzeczoznawców, potrzeba trzech do czterech Japończyków na to, aby wykonać pracę jednego Anglika.

Jeśli z Azji przejdziemy do Europy, i tutaj również jasno uświadomimy sobie, że ustosunkowanie się narodów na rynku wszechświatowym, bynajmniej nie określa się w pierwszym rzędzie skarbami natury, jakimi one rozporządzają, lub położeniem geograficznym, siłą polityczną, albo innymi momentami, określającymi sytuację zewnętrzną, ale przedewszystkiem miarę darów, jakie narody noszą w sobie, jako produktem zmieszania rasowego, z jakiego powstały. „Cała wschodnia Europa i połowa Azji—pisał prof. Oldenberg z Greifswaldu przed pięciu laty—podbite są przez Rosyję. Jej przemysł robi postępy, jakie przewyższają najśmielsze oczekiwania i obawy“. Inny znów



wybitny niemiecki ekonomista prawił—o „blasku“ rosyjskiego przemysłu i nazywał Rosyę krajem, „który zajmie stanowisko dostawcy własnych płodów dla wszystkich innych państw kulturalnych“. Dzisiaj ta Rosya znajduje się w środku ciężkiego kryzysu, do którego sprowadził zapęd w celu stworzenia przemysłu w wielkim stylu i jest niewątpliwem, że mamy tu do czynienia nie z jakimś chwilowem zjawiskiem w rodzaju tego, jakie bywa w chwilach wzrostu i upadku życia gospodarczego, jako naturalny zastój następujący po okresach zbyt gorączkowej produkcji, ale że ten kryzys gospodarczy ma swe źródło w wysokim stopniu w zdolnościach, czy nieudolnościach rasowych i że przeto pozwala nam na wyprowadzenie wniosków o sile konkurencyjnej Rosyi wogóle.

O Rosyaninie mówią, jako o typie mieszanym. Co to znaczy? To znaczy, że przymieszka krwi w Rosyaninie gra wielką rolę. Jakie są przymioty tego charakteru rasowego? Przytoczymy o tem zdań kilka, przypomniawszy jednocześnie jedną nieudaną próbę objaśnienia charakteru większej przynajmniej części rosyjskiego narodu—do etnograficznej jedności nie jest tak daleko!—ukształtowaniem przyrody zewnętrznej. Autorem tej próby nie jest nikt inny, jak biegły etnolog Anatol Leroy-Beaulieu, jeden z najlepszych znawców państwa rosyjskiego, który atoli znajduje się niewątpliwie na błędnym tropie, pisząc: „Równość powierzchni i ubóstwo przyrody wydają mi się odpowiedzialnemi za jeden z zarzutów, jakie najczęściej czynione są rosyjskiemu narodowi: za zarzut co do braku indywidualności, oryginalności, siły twórczej. Historia jest też zapewne winna temu; ale jeśli ten brak—o czem bardzo można powątpiewać — jest powszechnym i nieuleczal-

nym, to wina musi paść przedewszystkiem na przyrodę. Co się tyczy braku osobowości, to Rosyanin wydaje się w tym wypadku podobnym do swych pól“.

Leroy-Beaulieu przecenia tu całkiem niewątpliwie wpływ zewnętrznych warunków na utalentowanie narodu a nawet wpada w pewną sprzeczność z samym sobą, czyniąc „równość powierzchni i ubóstwo przyrody“, odpowiedzialnymi za brak indywidualności w Rosyaninie a pomimo to, wierzy w możliwość pewnego polepszenia się tych właściwości tam, gdzie te stosunki zewnętrzne: „równość powierzchni i ubóstwo przyrody“ zaledwie doznają zmiany. Powtórzmy: Nasza wiedza o Rosyaninie, stanowczo wykazuje silniejszy przylew krwi, niż ją nawet zdradzają zewnętrzne pozory. Wiadomo, że Rosya wyróżnia się znacznym importem robotników przemysłowych z Zachodu, pomiędzy innemi z Belgii i z Francyi, podczas, gdy wiejski, t. zw. czysty, muskularny robotnik rosyjski odpływa na Zachód; wiadomo też, że kierownicy rosyjskich fabryk w zdumiewająco znacznej części są ludźmi z Zachodu, ponieważ Rosyanin tylko w rzadkich wypadkach dorósł do przedłożonych mu na tym stanowisku zadań. Odnośnie do robotników rosyjskich przytoczymy kilka danych, jakie nabrały większej jawności niedawno podczas opublikowania pewnego projektu do prawa, które ma na oku techniczne wykształcenie robotników fabrycznych w Rosyi. „W projekcie idzie — mówił wówczas „St.-Petersburger Herold“ — o kwestyę wielkiej wagi, ponieważ nasz robotnik fabryczny przedstawia nie dość jeszcze podatny materiał dla bardzo wielu fabryk i zajęć technicznych“. „Tak np. — wyjaśnia to bliżej — najlepsze nasze przedsiębiorstwa muszą na 1,000 wrzecion trzymać conajmniej 13 robotników, kiedy w Niemczech stoi przy nich conajwyżej 9. W Anglii jeden ro-

botnik stoi przy czterech a w Ameryce Północnej przy sześciu krosnach mechanicznych, podczas, gdy u nas w kraju jeden robotnik musi ustawicznie dozorować jedne takie krosna. Oddzielne maszyny stają się do tego z roku na rok coraz bardziej skomplikowane i wymagają znajomości technicznych w obchodzeniu się. Wskutek czego, największa część naszych technicznych urządzeń widzi się zmuszoną do utrzymywania obok robotników nadto całe szeregi dozorców i przodowników — wydatek, który naturalnie w kosztach produkowania stanowi poważny rachunek. Tak np. u nas w kraju kosztuje dozоровanie 1,000 wrzecion 230 rb. rocznie, kiedy w Anglii tylko 7 rb.“

Również kwestya rasowa rządzi widokami walki odwetowej na rynku międzynarodowym. Z innego względu mówią o „psychicznych małowartościach“. Wchodzą one otwarcie do naszego zakresu w innem znaczeniu tego słowa. Nie jest nadto pewnikiem twierdzenie, że rasa sama tylko stanowi o pomysłowości lub niepomyślności narodów. Przy jednakowej w przybliżeniu wartości rasowego utalentowania, powinny ujawnić się i inne decydujące momenty. Każda rasa jest produktem nietylko zmieszania się krwi, lecz także przystosowania się do zewnętrznych warunków. Coraz częściej słyszymy, że północny Amerykanin „staje się coraz bardziej Indyaninem“, że Brytańczyk w Australii przetwarza się w całkiem inny typ. Faktem, jaki każdy wiele podróżujący europejczyk mógł osobiście zaobserwować, jest, że klimat oddziaływa osłabiająco lub wzmacniająco na nerwy. Ale w porównaniu z innymi momentami, nawet przy jednakowych warunkach, rasa jest, jak to mówią „krewią“, jest najbardziej decydującym czynnikiem. Tego samego dowodzi zupełnie jasno historia handlu od dawnych Fenicyan. począwszy przez mieszczan włoskich rzeczypośpolitych

handlowych aż do współczesnych Holendrów, Arabów i Brytańczyków. Semicka inteligencya Araba, dziś i z dawien dawna, jak Fenicyan w starożytności, słaadowała sobie większą część Afryki i Azji. „Canale Grande“ w ręku pewnej ilości arystokracji dumnej choć tak drobnej Wenecyi, był niegdyś kanałem handlu wszechświatowego, który przyrównać można chyba do Istmu Sueskiego. Kilkuset kupców holenderskich, zanim Anglicy ocknęli się do świadomości siebie, panowało na morzu i do tego w bardziej wyłączny sposób, niż dziś Brytańczycy—a nieco później szczupła garstka Anglików podbija państwo Wschodnio-Indyjskie: zawsze drobna liczba „ludzi rasy“, jeliła charakteru lub ducha! I dzisiaj również ilość tego rodzaju „ludzi rasowych“ w narodzie, w połączeniu z ogólnymi zdolnościami narodu, decyduje o losie, w szczególności o losie gospodarczym narodów. Co z tego faktu wywnioskować można o losach ludów Wschodu, zobaczyliśmy dzisiaj. Co zaś z niego wynika dla narodów Zachodu, wykazemy w następnym artykule.

przełożył  
Ed. Chwalewik.

---

# POEZJA POLSKA.

---

Jan Kasprowicz: „Moja pieśń wieczorna“ i „Salve Regina“.

---

Autor „Miłości“, biorąc rzecz powierzchownie, mógłby uchodzić za piewcę chrześcijaństwa, gdyż wszystkie niemal jego utwory, w wymienionych wyżej dwóch książkach umieszczone, są silnymi węzły z kolebką i świtem chrześcijaństwa związane i malują nam jakowąś scenę z tej wielkiej chwili dziejowej, która była świadkiem jednego z najwspanialszych, z najpotężniejszych przełomów duszy ludzkiej, dążącej na skrzydłach tęsknoty wytrwale, choć powoli, ku swej macierzy—słońcu.

A jednak tak nie jest: Jan Kasprowicz jest piewcą z siewca „miłości“ i dlatego za tło do swych natchnionych poematów wziął chrystyanizm, jako symbol wszystko przenikającej, wszystko oczyszczającej, wszystko okupiającej wszechmiłości.

I są w poematach Kasprowicza wszystkie odcienia, wszystkie odmiany i stopnie miłości: miłość Aholy i miłość Salomy, miłość Judasza i miłość Franciszka z Assyżu.

A jeśli kiedyś lira poety zagrzmi, zajęczy przekleństwem, jeśli z jej strun od czasu do czasu zrywa się

i mknie hen, ku górze jakiś hymn bluźnierczy, to i wtedy przekleństwo i bluźnierstwo powstały z miłości, zrodzonej w sercu człowieka, który cierpi, bo kocha i kocha, bo cierpi.

Poematy Kasprowicza — to koleje w miłości poczętej, od miłości odbiegłej i ku miłości dążącej duszy ludzkiej, to wszystkie jej męki, wszystkie jej bóle, wszystkie jej skargi, wszystkie jej płacze, wszystkie radości, wszystkie jej święta, wszystkie upadki i wszystkie jej wzloty.

„Na wzgórzu śmierci“ noc księżycowa, świat cały drzemie, świat cały śpi... później świt i dzień i znowu noc“. Długo, długo trwa już ta noc, świt minął tak dawno, zorza była tak wspaniała a słońca nie widać...

Olbrzymie cienie kładą się na ziemię, nad którą księżyc świeci nieruchomy, jakby umarły... Niebios ogromy ciężko się sparıły na sennych, mrocznych pochyłościach globu. O, jakże smutno mi! O, jak mi tęskno, samotno i smutno!“—Tę skargę, która blisko dwa tysiące lat temu płynęła z głębi serca „duszy z rajy wygnanej“ i dziś miliony dusz w Lucyferze obrony szukających, powtarza i nuci. I dziś, jak i ongi, są szlachetni Alethejowie, których wewnątrz się ludzi, że krwią Niewinnego ludzkość się nie splami, i dziś, jak i wtedy, są Szymonowie z Kyreny, którzy im odpowiadają, że tak się stać musi, bo wiedzą, że i dziś jeszcze jest „motłoch obdarty i motłoch w szkarłatach“; słowa mędrca z Kyreny: „Wątpieniem wypędziliście już bogów... a na ich miejsce stawiacie — wątpienie“, charakteryzują również dobrze dobę terażniejszą, jak i o dziewiętnaście wieków od niej odległy początek naszej ery.

„Nędzny świat — powiada Alethej. — Zaiste! Dla filozofa, coby go chciał zbawić a mając oko jaśniejsze od innych,

spoglądać musi, jak się coraz bardziej wszystko rozpada pod grzybem podłości, najlepiej ciemną przyozdobić w różę, wychylić miarę cypryjskiego wina, objąć rękami obnażone uda cieplej Laidy a potem w rozkosznym zapamiętaniu rozciąć sobie żyły“. Czy ta „mądrość rozpaczcy“ straciła dziś choćby jedną cząstkę swej prawdziwości i aktualności nawet?... I dziś wszystko się rozpada pod grzybem podłości a my i dziś jeno mądrze rozpaczać umiemy i choć widzimy wokół nas Golgoty i ludzi mniejsze, lecz niemniej bolesne dźwigających krzyże, my padamy coraz niżej, wypijamy miarę cypryjskiego wina, obejmujemy obnażone uda, bo choć „w sercu mamy uczciwość, nie mamy woli, by tę uczciwość ubrać w stal i śmiało na bój wyruszyć“. Jedno się tylko zmieniło: dziś ludzie są praktyczniejsi, rozpacz wszyscy i teraz w piękne i mądre słówka przybrać potrafią, lecz dziś sobie już nikt żył nie rozcina; teraz u nas dramat duszy ludzkiej zakańcza miara cypryjskiego wina i łożnica rozpusty. Życie nasze nie nie war-te—to kult Bachusa i Astarte...

Długo, długo trwa już noc, świt minął tak dawno, zorza była tak wspaniała a słońca nie widać...

A tam przed wiekami, dusza wygnana z raju wyciąga swe zrozpaczone, błagające dłonie i modli się do Lucyfera. A na wzgórzu śmierci Szymon z Kyreny proroczymi słowy uspakaja szlachetne bólem niepewności i zgrozą chwili szarpane serce Greka Aletheja i mówi mu: „Golgota niezrozumiała ma potęgę... Krzyża nie ustawili jeszcze dla jednego a na jej wzgórzu już siada bezwiednie, nieświadoma swej tragicznej siły, smętna tęsknica innych dusz... Golgota jest, widzisz, grobem pierwszego człowieka i będzie grobem ostatniego“...—a Grek odpowiada: „Dla człeka złem jest największem wątpienie... Najstraszniej,

gdy masz świadomość tej niszczącej siły a nie masz władzy, by ją zgnieść, boś zwątpił o możliwości tej władzy“.

I zstępuje kyrenejczyk wsparty na ramieniu wąpiącego Greka ze wzgórza śmierci a Lucyfer wskazuje ich kochance swej duszy z raju wygnanej i woła za nimi: „Patrzaj: mieli odwagę wejść na wzgórze śmierci, lecz schodzą z niego bez odwagi...”—i wyrzuca z siebie słowa pełne dumy, siły i królewskiej wielkości: „Z płomiennem berłem pochodni w męskiej, twardej dłoni przebiegam odtąd cały krąg i w serca ludzi wybranych wlewam światłość swoją, iżby nie byli stadem wobec Niego i nie wierzyli w Jego moc, co mocy nie miała tyle, by zgnieść przeciwnika, by mu odebrać nieśmiertelność... „Jestem“ — mówię do ludzi wybranych: Patrzejcie, jakim jest świat, który Jego wszechmoc, sławiona przez was stworzyła. A jeśli powie z nich który: „Dobrym, doskonałym w formie i treści był ten świat, gdy wyszedł z rąk Jego twórczych a tylko przez grzech twój stał się nikczemnym, kruchym i bezkształtnym“—wnet mu odkrzyknę: „Czemu Ten wszechmocny, Ten wszechrozumny, wszechwiedny, wszechdobry, do tego grzechu dopuścił?“ Tem jednem zmiotam pytaniem budowę ich wiary. A gdy się znajdą ludzie między nimi, którzy w Tamtego wierzą przyrzeczenia, że trzeba śmierci najlepszych, by zbawić świat ten od śmierci, między czerń ich wiedę i każe patrzeć, jak mrą ci najlepsi i tak powiadam: Tyłu ich umarło a spojrzcie tylko na ten tłum, ulepion ręką Tamtego!“...

Zaprawdę! straszno jest patrzeć, jak On idzie umierać, jak idzie umierać Ten, który „w ogrodzie oliwnym prosił Tamtego, ażeby mu odjął kielich go“yczy, ale potem cichy wypił go do dna“; straszno jest patrzeć na ten towarzyszący Mu na wzgórze śmierci „motloch obdarty



i motłoch w szkarłatach“ i straszno przysłuchiwać się śmiechowi tłumu, chorów i nierządnic, śpiewających: „Evoe Bacche!“ Zgrozą przejmując ta śmierć dla zbawienia tego stada rozbestwionych zwierząt, wśród którego pełno Tamar i Amnonów, dla zbawienia tych mężów i niewiast, dla których nie ma zakonu... „Moabczyk czy Amorejczyk, Filistyn czy kupiec z Tyru, to jedno... byle dobrze płacił“, dla zbawienia tych ludzi, wśród których „Ezechielów już nie ma“, których prorocy sami swoje córki na targ prowadzą“. A jednak On idzie; żołdacy Heroda plują Mu w oczy, tłum zeń szydzi, urąga Jego ranom a on „pod kulkami“ upada, lecz wstaje z upadku, zwraca się ku tłumom i błogosławi. Śmiech rozpiera dwie boginie Afrodys i Astoreth a On krzyż swój niesie i idzie na wzgórze śmierci. I zginął. A dusza z raju wygnana, która widząc tę Jego śmierć i męczeństwo, chciała już uciec z objęcia Lucyfera, teraz znowu woła swego kochanka, bo on ją między „czerń zaprowadził“, pokazał „jak mrą najlepsi“ i kazał jej patrzeć „na ten tłum ulepion ręką Tamtego“.

Widziała to wszystko a teraz na zapytanie Lucyfera: czy weń wierzy, odpowiada: „Wierzę! ach! wierzę!“—tuli się do niego i woła: „Ach! pieść i całuj! Niech w miłości twojej utracę bytu świadomość... Ach! zgoi moja się rana, co taką katuszą dręczy mnie wieki“... — — — ?

Na wzgórze śmierci noc księżycowa, świat cały drzemie, świat cały spi... później świt i dzień i znowu noc.

Długo, długo trwa już ta noc, świt minął tak dawno, zorza była tak piękna a słońca nie widać...

Ciemno, bardzo ciemno... Zorza, która w chwili ukazania się była tak cudnie piękna, tak wielka, iż zdawało się, że ona cały widnokrąg zapali i wybuchnie wielkim, słonecznym

grzech popielącym pożarem, znikła, znika coraz bardziej a „Judaszu“ srebrnikami dzwoni i mówi o miłości, miłości żebrze i miłość kupuje. „A czyż ja darmo, o dziewczyno, będę dziś pukał w twoje wrota? Pokaż-że mi się w okieneczku, wszak potaniała dzisiaj cnota!“

Potaniała, Judaszu! dziśbyś trzydziestu nawet srebrników nie dostał; spełniły się twe słowa, o ty wieszczbiarzu zbrodni! „Nie pierwszy ja zdrajca i nie ostatni i nie jedyny. Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli... Kędy spojrzeć — wszędzie Judaszów coraz więcej a ich narzędziem morderczem przyjacielski pocałunek—pocałunek za trzydzieści srebrników...“

„Wszyscyśmy zdrajcy! Człek człowiekowi jest równy—ja zwę się Judasz i tyś jest Judaszem, wszyscyśmy bracia Judasze... Należ-że mi karczmareczko, mocno przepalonej, a ty, bratku, graj wesoło, gach u twojej żony—ponoć przyjaciel twój czy brat“. Hej, hej! górą Judasze! my wam zapłacim, szczerze zapłacim a wy trujecie jeno pocałunkami tych śmiałków, którzy nam spać nie dają, nie pozwalają spokojnie zasiąść do stołu, idących na nasze królestwo z pożogą swoich twórczych słów, mających zniszczyć świątynię występku“.

I jest ciemno, coraz ciemniej i coraz ciemniej będzie. Świt minął tak dawno, tak dawno, dnia jeszcze nie było a my śpiewamy już „Naszą pieśń wieczorną“.

„Z zapadłych wiosek płyną rozhowory, w bagniskach dzikie odzywa się ptactwo a gdzieś w pustkowiu, a gdzieś na rozstaju w samotnej chacie, pobłyskuje światło a tam! zdaleka cicha idzie śmierć. Od zórz zachodnich w ziół zasypiających rozkosznej woni, piosnka się kołysze, nad niemowlęcia kolebką wysnuta: O tej radości, o tem weselu, o tem cudownem ukrytem ziele z za siódmej góry,

z za siódmej rzeki, które na smutek słodkie ma leki. O tej godzinie, co szczęście niesie, pieśń się kołysze po krzaczach, po lesie, po falach żyta pieśń się kołysze, w tę uroczystą wieczorną ciszę a w ślad za pieśnią cicho kroczy Śmierć.

A będzie to tylko śmierć ziemskiej powłoki, bo duch... duch skonał już dawno, wraz z tym światem skonał, który był i minął—minął może na zawsze...

Skonał duch, bo nieprawość nasza „przeszła granice, Panie, Twych zamiarów“ .A gdy niema takiej zbrodni, nie ma takiego grzechu, któregooby człowiek nie popełnił, karz więc „człowieka, co krąży po świecie z brzemieniem winy na ugiętym grzbiecie. Wagę masz w ręku i miecz sprawiedliwy, z którego lecą skry na ludzkie niwy, a pomsty twojej płomienna potęga, od pokolenia w pokolenie sięga. Krew nam wysusza i pożera kości, wieczysta wszechmoc Twojej zapalczywości—żadna się przed nią groza nie ostała: Niechaj Ci za to będzie cześć i chwała na wieki wieków, Amen, Amen, Amen!“

To nasza pieśń wieczorna a wokół nas jest coraz to straszniej; pramioność, z której wyłoniły się: słońce, gwiazdy, lądy i morza, przesłonięta dziś olbrzymią górą ohydy i grzechu, rozpusty i zbrodni. Tylko gdzieś, na rozstaju, w samotnej chacie pobłyскуje światło a tam! zdaleka cicha idzie Śmierć.

Więc wyciągamy błagalnie ręce ku wyży i z głębi konających serc naszych szlemy wołanie: „Zawitaj Pani świata... Wieniec twą skroń oplata, uwity z promiennych liści: o, niech się w nich nadzieja biednych ludzi ziści! Biała jak śnieg twa szata a z białego-ć łona lilia twą czystością rośnie ubielona. A wąż, który na ziemię przyniósł śmierć, przez Ciebie został podeptan na wieki—Salve Regina“.

Zawitaj Miłości na ziemię! zawitaj tryumfie biednej,  
z raju wygnanej, z objęć ziemskiej ku zbawczym szczy-  
tom najczystszej, najświętszej niebios miłości rwącej się  
duszy ludzkiej.

„Ziemio! ziemio! Tęsknota chodzi po tobie w wieńcu  
z gałązek oliwnych i z wielkim, czarnym krzyżem na wą-  
tłem ramieniu. I krople potu roni i dzierżąc kielich gory-  
czy w białej, zmęczonej dłoni, klęka co kroku w swej dro-  
dze krzemiennej i modli się, i płacze, i wzdycha i modli“...

Modlimy się wszyscy i wszyscy płaczem, klękamy na  
naszych drogach krzemiennych i wołamy: „Salve Regina!“  
A szatan, który wie, że „nędza jest wszędzie—nędza w mi-  
łości i nędza w cierpieniu“—śmieje się“...

Niech więc nadejdzie ku nam ta chwila, „w której się  
rodzi wieczorny hymn duszy“, bo wątpienie, którym star-  
rych wypędziliśmy bogów, znów w duszach naszych na  
niepodzielne królowanie osiada i wypiera z nich słowa  
mędrca z Kyreny: „A ja mówię, że czas nadchodzi wiel-  
kich zmian. Nie będzie muzyką linii krągła Kallipygos,  
przygłuszać mocy w szlachetnym człowieku, że zamiast  
walić żelaznym taranem w przybytek grzechu, którego  
jest świadom i który chciałby uprzatnąć ze świata, rzuca  
się w jego objęcia pijany i czołem bijąc swej własnej sła-  
bości, ginie, choć prawo miał zostać zwycięzcą“... „Czułem,  
że motłoch, który Mu urągał, nie dziś, to jutro, nie jutro,  
to kiedyś upadnie przed Nim“... „Czułem, że On to usunie  
ten przedział, co w dłoń Kaina wcisnął miecz na Abła, że  
On do raju otworzy znów drogę wypędzonemu Adamowi“...

A szatan, który wie, „że nędza jest wszędzie—nędza  
w miłości i nędza w cierpieniu“—śmieje się“...

A dusza z raju wygnana na zapytanie Lucyfera, czy  
weń wierzy, odpowiada: „Wierzę! ach! wierzę!“—tuli się do

niego i woła: „Ach! pieść i całuj! Niech w miłości twojej  
utracę bytu świadomość... Ach! zgoi moja się rana, co ta-  
ką katuszą dręczy mnie wieki — — — ? . . . . .  
. . . . . Na wzgórzu śmierci noc.

Jan Kasprowicz nie jest wieszczem chrześcijaństwa  
a piewą najszczytniejszej, najszerzej pojętej miłości, któ-  
ra z krwi krzyża na Golgotę spadłej wyrosła.

Utwory Jana Kasprowicza, choć różnemi opatrzone  
tytułami, stanowią jedną, nierozłączną całość; każdy z tych  
natchnionych, wielkich poematów, wypływa z poprzednie-  
go i dopełnia go; każdy z nich zamyka w sobie cały świat  
ludzkiej doli i ludzkiej duszy.

Jan Adolf Hertz.

---

## PISMIENICTWO NIEMIECKIE.

---

Jan Schlaf: „Wiosenne kwiaty“. — Karol Karlweiss: „Małżeństwo Marcina“.—Klara Viebig: „Dziewice różańcowe“.—  
Henryk Tavote: „Ja“.

---

Autor licznych utworów dramatycznych, powieści i poezyj, Jan Schlaf, wydał niedawno świeży tom nowel, zatytułowany: „Wiosenne kwiaty“. Jest to szereg szkiców o różnej wartości literackiej i różnego rodzaju — są tam wydarzenia, nastroje, impresye i w szatę poetycznej alegoryi osłonięte idee filozoficzne.

„Sprawiedliwość“, to ponury obraz, osnuty na tle wielkomijskich stosunków. Utwór ten jednoczy w sobie wszystkie zalety pióra autora. Na idyllę wiosenną „Wiosenne kwiaty“, składa się szereg szkiców, z których każdy otrzymał nazwę jakiegoś kwiecia, zjawiającego się w tej młodzieńczej porze roku a więc: pierwiosnek, krokus, hyacynt, tulipan, i t. d. Czysta, wzniosła liryka dźwięczy w tych drobnych utworach, brzmiących niekiedy niby natchnione hymny lub szczytne pieśni—jak np. wspaniały hymn do hyacynta. Na smętną nutę nastrojony jest „Absynt“ a w „Atomie“ widok róży pobudza poetę do głębokich rozmyślań.

Jak we wszystkich prawie pracach tego autora, tak i w powyższej widnieje głęboka cześć i miłość przyrody, za której cząstkę się uważa, z którą czuje się organicznie złączonym, będąc jedną z drobin wielkiej duszy wszechświata, gdyż—wedle jego zdania—słońce i ludzie, gwiazdy i rośliny, zwierzęta i kamienie—wszystko wogóle, co istnieje, tworzy jedną, wielką rodzinę i łączy się w jeden harmonijny akord.

Ostatnią pracą świeżo zgasłego pisarza, Karola Karleweissa, autora licznych powieści i sztuk dramatycznych, cieszących się wielkiem uznaniem — jest nowela „Małżeństwo Marcina“. Kawaler „w najlepszych latach“, który prowadził bardzo pracowity żywot, postanawia nareszcie trochę odpocząć i podróżować. W miejscu kąpielowem pozna je młodą, rafinowaną ale dziewczynę, która go wnet usidlić potrafiła. O tem wszystkim dowiadujemy się z listów, które Marcin pisze do swego siostrzeńca a korespondencya, którą jego żona prowadzi ze swą przyjaciółką, zdradza, że wyszła ona zamaż, by mieć dostatnie utrzymanie a nadto, że miała dawniej bardzo czuły stosunek ze współnikiem swego obecnego męża. Wśliznął się on teraz chytrze w nowozaślubione stadło, oplątał wnet swą dawną ofiarę i namówił ją do uciezki. Tak ją jednak gnębi i tyranizuje, że doprowadzona do ostateczności kobieta, zabija uwodziciela, poczem sama kończy samobójstwem.

Nowela ta jest pisaną w formie listów, nie wyróżnia się niczem od przeciętnych utworów i pewnie nie wslawiła swego twórcy, choć w niej widzimy dobre obrobienie niektórych szczegółów, potoczystość stylu, trafne niektóre uwagi i spostrzeżenia, znamionujące, że poeta był człowiekiem pełnym szlachetności i serca.

Zbiór nowel Klary Viebig, zatytułowany: „Dziewice

różańcowe“, otrzymał swą nazwę od pierwszej z nich, jak to jest teraz ogólnie przyjętym zwyczajem w świecie literackim. Unosi się nad nimi, jakby ciężka, szara mgła, której żaden jaśniejszy promyk nie rozświeca — wywierają one na czytelniku przygnębiające wrażenie, stawiając mu przed oczami obraz twardej, ciężkiej doli tylu nieszczęśliwych istot.

Już w pierwszej przedstawia nam autorka, posiadająca dar trafnego podpatrzenia charakterów, tak wyraziście nieskomplikowane uczucia działających osób — w tym wypadku młodego konającego chłopca, tegoż zazdrosnej żony i jasnowłosej Maryjki. O „Bronzowych buciżkach“ marzy młoda matka dla swego spodziewanego dziecięcia, które dla uspokojenia, kupuje jej mąż. Kilkoma prostymi słowami okazuje nam tu poetka tak zgodnie z prawdą, co się dzieje w duszy samotnego wdowca na myśl, że jego umiłowana żona już nie ujrzy, jak się ich maleńki synek pyszni swym pierwszym obuwem. „Święty“ i „Za murami“ pouczają nas, że kto ma na ustach słowa najpiękniejsze, nawet cytaty z Pisma Świętego, ale nie posiada przytem wyrozumienia dla cudzych błędów i trochę serdecznej miłości ludzi, ten bliźniego od zguby nie uchroni, ani niczego dobrego dlań uczynić nie zdoła. Bohaterami „Jędrzeja i Michaliny“ i „Matki“, są robotnicy polscy, wynajmujący się do polnych robót po niemieckich wsiach. Smutno by było, gdyby w istocie wszyscy robotnicy byli takimi, jak w pierwszym z tych opowiadań, gdyby pracowali przez tydzień cały w pocie czoła na to, by pić w niedzielę, jak bezmyślne zwierzęta — nie troszczyli się zgoła o rodzinę i katowali żonę, która też ciężką robotą zajęta ustawicznie. W drugim opowiadaniu biedna najemnica, trawiona tęsknotą za dzieckiem, ucieka ze służby; sprowadzona na-



powrót przez żandarmów, umyka znowu i zbłądziwszy, ginie w drodze wśród śnieżnej zamięci. „Wiosenne dusze“ przedstawiają nam z psychologiczną wiernością uczucia, ogarniające młodziutką szwaczkę w ciepłych, pieściwych techniach wiosennych. Sama nie wie, co jej właściwie tak dolega, gnana jakimś wewnętrznym niepokojem, biegnie ulicami, pustemi alejami ogrodu, lejąc przytem bezwiednie gorzkie, gorące łzy. Dla niej niema szczęścia ni radości, ona musi ciągle szyc—od świtu do późnego wieczora, w lecie i zimie, całe lata szyc—szyc aż do grobu... Cichą melancholią tchnie „Melodya“ a „Wyzwolenie“ daje nam do poznania, że i największy ból i zawód można przemódz i odżyć nanowo fizycznie i duchowo. „Czerwone maki“ świadczą o bystrym zmyśle spostrzegawczym autorki—rzecz ta stanowi niejako przedwstępne studyum do jej wielkiej powieści „Powszedni chleb“. Oprócz wyżej wymienionych, zawiera ta książka jeszcze pięć noweli, jakoto: „Jasio“, „Jedyna“, „Chłopak z mleczarni“, „Amator słońca“ i „W mgle“.

Wszystkie powyższe nowele — z małemi tylko wyjątkami—osnute są na tle życia rzemieślników, służących, wieśniaków, małych urzędników — jednym słowem, niższych warstw społecznych. Kreślone są one z niezwykłą znajomością środowiska, rzadkiem zrozumieniem zwyczajów, potrzeb i duszostanów tych prostych ludzi, odznaczają się nadto jedrnością stylu i energicznym językiem. Przebija w nich także wielkie, gorące uczucie i głębokie umiłowanie tych stanów, które Klara Viebig opisuje. Prace jej należą obecnie do najbardziej poczytnych dzieł.

Śladami Maupassanta pokusił się kroczyć realistyczny par excellence romansopisarz i nowelista, Henryk Ta-

vote, ale daremnie. Z jednego wprawdzie świata, raczej półświata, czerpią obaj treść do swych utworów, temu ostatniemu brak jednak tej wytworności, tego wdzięku, tego misternego wykończenia, które są cechą wielkiego Francuza. „Ja“, nerwowe nowele, tą oryginalną nazwą objął Tavote cykl swych drobniejszych prac. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że mówi w nich o sobie, swem życiu, wydarzeniach, myślach własnych — są to bowiem tylko zwierzenia jego przyjaciół i znajomych, ludzi o wrażliwych nader nerwach, które ubrał w artystyczną szatę. Zbiór powyższy składa się z jedenastu nowel, lekkich szkiców i paru impresyj, zdradzających zręczną i wprawna rękę. „Krew“, wizya przejechanego konia, stoi dwom kochankom zawsze przed oczami i jak nie do usunięcia zaporą, przeszkadza wszelkiemu serdecznemu zbliżeniu się i zmusza ich w końcu do zupełnego rozejścia się. Drobną „Niespodzianka“, czasami spojrzenie, uśmiech, słowo fałszywie pojęte—wywiera wpływ na nasze losy. Jest to wpływem owej nadwrażliwości, owego nieuleczalnego sentymentalizmu, będących przekleństwem obecnego człowieka, powodującym ciągle bolesne starcia z zewnętrznym światem. „Spadające krople“ i „Cień“ — to dwie nastrojowe rzeczy. „Tylko modelem“ jest dla artysty każde uczucie, każde wrażenie i człowiek każdy, gdyby najbardziej ukochany—ale też za to dla sztuki poświęca on wszystko, gdyż ona jest dlań najszczytniejszem, co istnieje. „Sen—śmierć“—to najbardziej charakterystyczna z nowel autora, której bohaterem jest człowiek cierpiący na przewidzenia, który się jednak z biegiem czasu w dziwny sposób z tego wyleczył.

E. M.

# NOTATKI z piśmiennictwa angielskiego.

## I.

Wchodzimy w krąg umysłowy, różniący się bardzo znacznie od tego, w którym przywykła krążyć myśl nasza. Umysłowość polska w końcu osiemnastego i do połowy zeszłego wieku, urabiała się na wzorach francuzkich; od połowy dziewiętnastego wieku przeważnie żyjemy pod wpływem niemieckim. Czy kiedykolwiek dostaniemy się pod stempel angielski? — wątpić można, gdyż tryb myślowy obu społeczeństw jest bardzo różny. Jest to szczególność, iż żadna myśl angielska nie znalazła sobie bezpośredniej drogi do naszej umysłowości, zdobycze angielskiego ducha zawsze otrzymywaliśmy z drugiej ręki. Szekspira otrzymaliśmy najprzód w nedorzeczej obróbce francuzkiej a filozofię angielską w opracowaniu niemieckiem. Z tem wszystkiem, byłby już czas zapuścić sondę bezpośrednio w środowisko narodu jednego z naliczniejszych i najwyżej skulturowanego na kuli ziemskiej. Jest to tembardziej pociągające, iż spotkać się tu przychodzi z mnóstwem najoryginalniejszych widoków, które zaostrzają interes i uprzyjemniają pracę spostrzegacza. Umysłowość angielska przejawia się w tak odmiennych i oryginalnych faktach i utworach, iż poniekąd można ją uznać za wprost przeciwległą naszej umysłowości, naszym pojęciom, przywyknieniom i gustom. My zatopieni jesteśmy niemal cali w przeszłości i zostajemy pod jej absolutną władzą. Anglia, chociaż jest namiętnie do swej przeszłości przywiązana i uznaje jej kult z synowską pobożnością, w praktyce atoli wyswobodziła się od niej i żyje realnie a fantazyą sięga raczej przyszłości niż przeszłości. Ztąd

u nas np. pierwsze miejsce zajmuje powieść historyczna a w Anglii utopie przyszłości, rodzaj prorocत्व wysnutych z premisów terażniejszego życia. Powtóre, my jesteśmy ściśle zespoleni z lokalnością, Anglicy skutkiem wszechświatowego swego panowania, zajmują się dwiema trzecimi kuli ziemskiej, czyli uprawiają egzotyzm. Skutkiem parcia w tych dwóch kierunkach, piśmiennictwo zarówno jak i teatr, wykazują wielką ilość utworów fantastycznych i egzotycznych a gust czytającego ogółu, skłania się ku tej stronie. Te same powieści Welsa, Shea, Kaena, Maryi Corellii—przełożone na język polski, nie budzą w czytelniku prawie żadnego interesu ani zajęcia, kiedy tymczasem w Anglii są powszechnie czytane i doznają najszerszego rozpowszechnienia. Prawdopodobnie daje się to objaśnić ową mieszaniną realizmu i zdrowej praktyczności z fantazyą, jaka jest cechą umysłowości wyspiarzy. Dla przykładu przytoczymy tu treść paru tego rodzaju utworów, będących płodem gorączkowej wyobraźni na podstawie faktów bieżących.

W czasopiśmie „Humanitarian“ znajdujemy science-fictionowy romans o amerykańskim fizyku Mikołaju Tesla, Słowaku czy Serbie z urodzenia. W powieści tej jedną z główniejszych roli odgrywają telegrafy bez drutu, co zresztą urzeczywistnił już Marconi, ale co jeszcze kosztuje bardzo drogo, gdy Tesla przepowiada im bajecznie niską cenę. Porozumiewanie się z Wenerą i Marsem stanowi już tylko epizod romansu. Ale osią intrygi jest odkrycie przesyłki elektrycznej energii bez drutu. Idzie o to, aby mechaniczna siła wodospadów mogła być przesyłaną bez przewodników do wszystkich punktów kuli ziemskiej. Wtedy głównym produktem wywozu krajów posiadających wodospady, jak: Stany Zjednoczone, Szwajcarya, Finlandya, Norwegia,

i t. d.—będzie elektryczna energia. Wtedy człowiek zapanie nad światem, osiadnie w pustyniach i stepach a za niewielkie pieniądze nawodni je i skulturuje przy pomocy energii elektrycznej. Co więcej, Tesla przepowiada zużytkowanie ciepła bez spalania węgla, którego zapasy, jako materyalne, ulegną zużyciu. Rozumie się, jest tu mowa o utylizacji promieni słonecznych. Ze swej strony zużytkowanie ciepła słonecznego pozwoli na tańsze wydobywanie elektryczności, która wyprze drogą parę. Nędzarcz przy pomocy elektrycznego źródła oświecili, ogrzeje swą izbę. W takiej izbie, otrzymując bez drutu energię, jako siłę pracującą, rozpleni się mały przemysł i pokona wielką industrię, utrzymującą świat w nędzy i niewoli. Ale na tem nie koniec. Wiadomo, iż według lorda Celvina, materya cielesna jest uruchomionym eterem, wypełniającym wszechświat w stanie spoczynku. Tesla przepowiada proces, za pomocą którego materyę będzie można przetwarzać w eter a eter w materyę. Wtenczas cały wszechświat zostanie wciągniętym w sferę ludzką i cała ludzkość stanie się obywatelstwem wszechświata. I takie rozmyślenia znajdują gorących adeptów w anglo-amerykańskim szczepie.

Inny grunt i inny obręb mają powieści Shella. W romansie „Żółta groźba“, przedstawia autor nie nową zresztą tezę, najścia Chińczyków i Japończyków na Europę. Oba mocarstwa wschodniej Azji, zorganizowawszy swój przemysł, handel, finanse i armie, zamierzają najście na Europę, dla zgnębienia wrogiej i antypatycznej im cywilizacji rasy białej. W tym celu knują spisek i dla obezwładnienia Europy utępują mocarstwom obszerne terytoria. Wyradza to między niemi zawiść, wojnę Francji, Rosji, Niemiec przeciw Anglii. Ta ostatnia paszcza swe europejskie

i indyjskie armie, zajmuje Francję po Paryż, Niemcy po Berlin a południową Rosję po Charków. Wtedy Chiny-Japonia wyruszają z czterystu-milionową armią dżyczy w pochód ku Europie. Wszystko pada w proch przed tą szarańczą a w ogniu wojny stojąca Europa, nie ma sił oprzeć się barbarzyńcom. Na szczęście, ludzkość zagrożoną ocala też sama Anglia. W bitwie morskiej (podobnie jak Europa pod Lepantem), pokonywa flota angielska flotę japońsko-chińską, zabiera sto tysięcy bark z dwudziestu milionami Azyatów, uprowadza je na północ i topi w Golsträmie. W drugim swoim, świeżo wydanym roman-sie „Władca morza“, autor przeprowadza akcyę owładnię-cia przez Anglię, jako zbawczynię, rodu ludzkiego, za-władnięcie wszystkimi koloniami europejskimi i panowa-nie złotego wieku na ziemi. Ale po za temi utopiami, na-ród i piśmiennictwo angielskie pracują całą siłą na grun-cie zwykłym i realnym. Lecz i tu odciska się piętno jego oryginalności. Co może być np. prozaiczniejszego nad en-cyklopedyę— a jednak w Anglii encyklopedyom nadano si-łę i formę, przyciągającą umysł i uwagę czytającego ogó-łu. Przestały one być suchemi zbiornikami faktów, posia-dają żywość i barwność.

Takim jest właśnie drugie wydanie wielkiego dzieła p. t. „Cyclopoedia of English Literature— Chambersa“. Świeżo wydany drugi tom, w niczem nie ustępuje pierw-szemu pod względem znakomitego obrobienia. Księga, ozdo-biona 24 portretami, zawiera w swej treści blisko 500 not o autorach XVIII wieku. Każdy ustęp, to mniej więcej biograficzny i bibliograficzny opis osoby, oraz dzieł danego autora; wzmianki krytyczne o większych jego utworach, dają poznać literacką wartość takowych. Prof. George Saintsbury przedstawia Swifta, Pope'go i Sterna; Austin

Dobson podaje wyczerpujące dane o Richardson'ie, Fielding'u, Goldsmith'cie, Gay'u i Priorzie. William Wallace analizuje działalność Allana Ramsay'a, Fergusson'a i Burns'a. Wogóle pisarze współcześni poświęcają nowszej czy dawniejszej literaturze angielskiej i szkockiej wiele interesującego materiału oraz opisów; historia literatury Anglii z XVIII w., skreślona przez Austina Dobsona, stanowi doskonały dział naukowy. Robert Aitken wystąpił w tejsze encyklopedyi z barwną charakterystyką epoki królowej Anny a dr. Dawid Patrick świetnie obrazuje ruch literacki w Szkocyi, malując posępne okolice kraju. Znaczna liczba autorów i pisarzów, którzy nie figurowali w pierwszym wydaniu Encyklopedyi Chambers'a, tu zajmuje odpowiednie miejsca, przyczem zaznaczyć należy, że portrety wielu obok wymiany tytułów ich dzieł, łączą się w zajmujące całości literackie. Austin Dobson jest niemal drobiazgowy; opisując w. XVIII, zaczyna od r. 1700, t. j. od epoki śmierci Drydena a dochodzi do r. 1890, do śmierci Cowpera. Dobson jest ścisły i stylowy; wszystkie noty z pod pióra tego uczonego, znamionują się doskonałą charakterystyką autorów. Nawet zwierciadło ich dusz przedstawione jest w Encyklopedyi nie szematycznie, nie sucho, ale malowniczo i jasno. Inne opisy, jakoto: Rewolucya angielska z r. 1688 i Rewolucya francuzka z r. 1789, z faktami i datami, należą również do piękniejszych i bardziej interesujących części dzieła. Łatwość w oryentowaniu się, wśród labiryntu danych, czyni wielką Encyklopedyę Chambersa dziełem epoki; przystępna droga, głównie zaś jasne i ścisłe wywody, nie pozostawiają nic do życzenia. Jakże dalekiemi są nasze, zbyt suche, albo zbyt gadatliwe encyklopedye kontynentu!

Jedno z bardziej zajmujących dzieł sezonowych w Lon-

dynie, stanowi obszerny tom H. C. Merivale'a p. t. *Bar, Stage and Platform*. Opowiadanie, lubo nie osnute na romansie, czyta się z przyjemnością, gdyż budzi interes z powodu żartobliwego stylu. Kilkadziesiąt arkuszy wyborowej lektury składa się z różnych opowiadań, dość poważnych co do treści. Autor widział dużo, obserwował i doskonale umie malować wydatniejsze sylwetki. Dlatego zaciekawia od początku do ostatniej strony. Oto np. kardynał Manning, jeden z bohaterów, ciekawy typ mieszaniny człowieka świeckiego z osobą duchowną, przedstawia się zupełnie naturalnie. Za młodu zdradzał wiele zamiłowania do fizycznych ćwiczeń na świeżem powietrzu, podobnie jak John Morley, który jeszcze w Oxfordzie słynął jako znakomity aktor-amator. Merivale, mówiąc o kardynale Manningu, pisał tonem lekkim, swobodnym a zaznaczając, że był bokserem w ścisłem tego słowa znaczeniu, przytacza następującą anegdotę: jeden z młodszych księży opowiadał, że Manning często na kazalnicy przybierał bezwiednie postawę atlety. O współczesnym koledze swoim, W. S. Gilbertcie, dzielnym i płodnym dramaturgu, podaje Merivale w życiorysie zabawny epizod: „Kiedy młody Gilbert miał obrać powołanie, ojciec jego chciał mu takowe od siebie narzucić, przeznaczając synowi z własnej woli adwokaturę. „Jeśli zgodzisz się studyować prawo — rzekł — to będziesz mógł zostać w przyszłości lordem-kanclerzem“. — „A jeśli poświęcę się sztuce i teatrowi, mogę zostać Sheridan'em“ — odparł Gilbert i wybrał to ostatnie powołanie. Gilbert istotnie nie żałował wyboru... najpiękniejsze sukcesy wieńczyły jego prace, które też wślawiły jego imię.